



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

ROZKOSZE ŻYCIA. ¹⁾

AMBICJA.

Milton nazwał pragnienie sławy ostrogą, która duchy podbudza, i burzy, wraz ze spokojną pracą. rozkosz dni jej oddanych, dodając, że jest to ciężka choroba umysłów szlachetnych. Niemniej przecież ambicja, gdy skierowana właściwie, staje się niemalą pomocą w pełnieniu cnoty i Cicero przyznaje, że nie byłby się narażał na tyle walk, na tyle starć z lichymi ludźmi, gdyby umysł jego nie był się napoił od dzieciństwa tą prawdą, że cnota i chwala powinny być nam równie drogimi — powinny być najwyższem życiem naszego pragnieniem i że dla osiągnięcia tego celu można pogardzać cierpieniami ciała, niebezpieczeństwem życia, boleściami wygnania. Wprawdzie poeta, (Tennyson) ostrzega nas, że na jednego, który staje u celu, wielu w pogoni za nim pada o ziemię, ale Lubbock temu przeczy. Każdy zasługujący na to otrzymuje nagrodę trudów swoich, jakkolwiek nie zawsze taką, o jakiej marzył. Przegrana bywa nieraz zaszczytniejszą od zwycięstwa i poniża nas tylko wtedy, gdy jest zasłużona, gdy jest skutkiem upadku ducha. Choć nie każdy szczęście osiąga, nie powinno to być nam powodem, abyśmy nie dążyli do niego, jeżeli ukazuje nam się ono pod postacią piękną i dobrą, a stary filozof (Bakon) dowodzi, że każdy człowiek, który umie patrzeć w życie uważnie, dopatrzy gdzie się Fortuna znajduje, bo chociaż ona sama jest niewidomą nie znaczy to, aby była i niewidzialną.

Abyśmy mogli nakreślić rozsądnie plan dla dążeń naszych do szczęścia, trzeba nam najpierw określić, co przedewszystkiem pragniemy osiągnąć. Rozkład dobrego użycia czasu jest tu rzeczą najpilniejszą — trzeba przedewszystkiem poświęcić go pracy bez ociągania się, bo często jedna chwila stracona staje się przegraną i autor przytacza tu, jako przykład, ustęp z pamiętników Napoleona I-go, który wykazuje, że bitwa pod Montebello została wygraną przez dobre użycie jednego kwadransu czasu. Podczas tej bitwy Lannes, widząc sześciotysięczny korpus huzarów węgierskich, zbliżający się ku polu walki, wysłał przeciw niemu oddział liczący tylko 800 koni. Attak został wykonany i wstrzymał o jeden kwadrans przybycie owego nowego korpusu na pole bitwy, a to zadecydowało o wygranej Francuzów, bo nie więcej czasu nad ten kwadrans jeden było potrzeba, aby los bitwy rozstrzygnął się stanowczo. I tak bywa nie w jednej walce życia: podjąć ją o jeden kwadrans wcześniej lub później — znaczy przegrać lub wygrać i do tego-to odnosi się przysłowie, że leniwy podwójnie traci. Czas może być wielkim sprzymierzeńcem lub wielkim wrogiem człowieka, jeżeli nie będziemy umieli, jeżeli się lenimy wyzyskać go należycie. Ambicja, gdy zagrzewa nas do czynu, nie dopuszcza właśnie lenistwa takiego: staje się zapalem, staje się śmiałem napróżd dążeniem, które sprawia, że stajemy w pierwszym szeregu wśród współzawodników naszych i wyprzedzić się im nie dozwolimy. Pierwej przybawający ma za sobą korzyść wyboru miejsca, ma za sobą korzyść pierwszego ruchu; ale najważniejszą tu rzeczą jest posiadanie tej energii, która go tak napróżd popychała, i ambicyi będącej tu sprężyną czynu. Ta ambicja staje się w takich chwilach władzą cudowną, bo w podnieceniu, jakie niesie za sobą, nie odczuwamy rązów poniesionych, nie bolą rany otrzymane. Należy nam przed każdym czynem życia, przed

każdym krokiem napróżd pomyśleć o tem, aby możliwie najmniejszym mógł być nasz trud i koszt cierpienia, którym trzeba nam okupić powodzenie, ale gdy zamiar stał się raz przedsięwzięciem, wtedy już powinna w nas wstąpić ta duma, która się zowie ambicyą, i która nie ogląda się już po za siebie, nie żałuje wysiłków podejmowanych, nie liczy ofiar czynionych, — nie cofa się przed niebezpieczeństwem. Trzeba, aby zwycięzca losu i ludzi zostać, wzbudzić to w sobie i być takim, o jakim pisze poeta angielski:

Ten, kto ma w piersi męskość dzielną,
Złej doli się nie boi.
Sięga po sławę nieśmiertelną
I ufa gwieździe swojej.

— Pragnienie chwały — mówi Renan — jest uczuciem, które nie potrzebuje bynajmniej łączyć się z próżnością, bo ma dla siebie pobudki wyższe nad to. Czuć się zwycięzcą, jest to najpierw czuć się silnym, i stary moralista, Marek Aureliusz, pisze: — „Pająk jest dumny, gdy schwyci muchę, człowiek, gdy dosiędzie dzikiego rumaka; inny, gdy złowi w sieć swą rybkę maleńką, — inny jeszcze, gdy upolował niedźwiedzia; inny, gdy wziął do niewoli Sarmatę“. Wszystko to wykazuje dumę z dokonanego zwycięstwa i rozkosz sławy, której pragnienie zagrzewa do czynu, co nie jest jeszcze uczuciem niskim, jeżeli przedmiot, po który sięgamy, nie nikczemnym jest, nie poziomym. Zwracając się w dawne wieki dziejów ludzkości, znajdujemy tam w Alexandre Wielkim typ ambicyi w jej podniesieniu najwyższem. Pragnie on zwyciężać, nie dla tego, aby posiąść, ani nawet, aby panować. Gdy w młodości jego przychodziły w czasie wojen, toczonych przez Filipa, wieści o zwycięstwach, odnoszonych przez króla, syn marszczył się posępnie i mówił do towarzyszy: — „Ojciec mój będzie tak wojował i zwyciężał, że nie zostanie już dla nas nic wielkiego do

(1) The Pleasures of Life, by John Lubbock.

uczynienia". Takie pragnienie dokonywania czynów bohaterkich, jedynie dlatego, aby stać najwyższą wśród ludzkości, jakkolwiek wykazuje umysł niepospolity, dowodzi zarazem niepohamowanej miłości własnej, i tu jest ta podwodna skala życia, o którą rozbił się niejeden wielki geniusz, a która w mniejszym zakresie powszedniego życia pchnęła niejednego człowieka na złe tory czynów samolubnych i przyniosła gorzki owoc zawodu, rozczarowania — a nierzadko upadku moralnego. Taka ambicja staje się zwolna nienasyconą i unieszczęśliwia. Ten Alexander, któremu zaczynało być ciasno na świecie z powodu, iż miał wielkiego ojca, czuł się podrażniony widokiem niebios usianych gwiazdami. Jest tyle światów tam w górze, a on nie był zdolnym podbić żadnego z nich!

To, co filozofia moralna nazywa w ambicji nędzą ducha, odnosi się do takiego jej samolubnego pojęcia, której typem jest ów król macedoński. Przedstawia ona ideę uwielbienia samego siebie, wyniesienia się ponad wszystkich pod bodźcem próżności, bez względu na szczęście innych, a nawet pomimo ich cierpień — ich nędzy i niedoli. Dla tego-to ludzie w ten sposób wynieśli, nigdy prawdziwie kochanymi nie są i ludzkość nie uczuwa wobec ich wielkich czynów takiego serdecznego wzruszenia, jakie budzi się wobec bezinteresownych aktów poświęcenia dla innych bohaterstwa — wobec aktów miłości bliźniego, miłości kraju, idei.

Bakon jeszcze powiedział, że zbyt gorliwe zajęcie się własną dola, ściganie Fortuny na własny rachunek zabiera nam tak czas i absorbuje myśl, że już starczyć nam tego nie może dla poświęcenia się szlachetnym sprawom — sprawom ludzkości i ogółu swego, i ostrzega, że nigdy osobiste szczęście nie może być celem, dla którego wartoby żyć, jeżeli życie to nie ma być istnieniem niskim i pospolitem.

Goethe czyni głęboko rozumną uwagę, że człowiek żyje dla postępu, nie tego przecież, którego ma dokonywać wśród świata, ale tego, który się dokonywa w nim. Ten postęp tylko wzbogaca rzeczywistość ludzką i przykłada się do zwiększenia jej skarbów. Kiedy mówimy o sławie, należy też rozróżnić nazwę jej od istoty samej: rozgłos od sławy. Niezawsze jedno z drugiem chodzą w parze, a nawet dzieje się bardzo często wręcz przeciwnie; osobistości żyjące w pamięci ludzkiej przez wieki trzymały się za życia na uboju i pracowały w cichości. Jest też tu obok sławy niesława, która równie sprawia hałas, ale lepiej pozostać nieznanym, niż dać się poznać, jak Herostrat. Niewiasty Kanaeńskie mają w historii piękniejsze istnienie bezimienne, niż Herodyada i kto odbija się szlachetniejszym obrazem na tle dziejów ludzkich: Piłat, czy ów dobry łotr, któremu Chrystus powiedział, że będzie z nim w raju?

Życie całe musi się skłaniać na jeden czyn wielki — pamiętny w dziejach ludzkości i jest też wielu mężów, którym jeden czyn, jako kwiat ich istnienia, dał nieśmiertelność. Niezawsze przecież nieśmiertelnym bohaterem jest ten, kto zwycięża. Nie Xerxes, ale Leonidas, dostał pomnik sławy, zbudowany w Termopilach i można być nawet wielkim geniuszem, a jeszcze bohaterstwa nie osiągnąć. Przykładem tego jest Napoleon — wielki geniusz, a przecież nie bohater. Bohaterem jest ten, kto tworzy rzecz, mającą wśród ludzkości istnienie nieśmiertelnie oddziaływające na ludzi. Czyni orężne Napoleona nie utrzymały się jako kształt, któryby przeżył jego czas i tylko jego kodex daje mu rzeczywisty tytuł do chwwały, która nie ogranicza się do samego rozgłosu. Przez kodex swój Napoleon żyje dotąd w ludzkości, działa wśród niej, więc ma przez niego zapewnioną sobie nieśmiertelność.

Taka jest nieśmiertelność Leonidasa, Regulusa: czyni ich każda dotąd bić sercom ludzkim, podnoszą dotąd pierś ludzką wzruszeniem, płodnym w owoce wzbudzanego zapału, podniesienia ducha w kierunku cnoty obywatelskiej. Tylko czyny, których działanie nie ogranicza się czasem, dają nieśmiertelność. Goethe był nazywany przez historyków literatury duszą swojej epoki, i to jest, co zapewnia mu ślad nieśmiertelny

w historii myśli ludzkiej. Tak bywa z wybranymi pisarzami w zakresie ich społeczności. Takim, na przykład, jest dla nas Mickiewicz. Że pisma jego więcej, niż plody innych, nie mniej wielkich, niż on poetów, działają dotąd przez interes, który wzbudza, jest on nieśmiertelny — żyje dotąd, bo oddziaływa na życie. Jest rzeczą godną uwagi, jak wiele ludzi nieśmiertelnych wyszło z niskich sfer społecznych. Duch techniczny, gdzie chce... a przez ducha tylko swego człowiek wynosi się rzeczywiście na poziom życia taki, na którym rozgrywają się rzeczy wielkie i, w znaczeniu długo trwałych oddziaływań, nieśmiertelne. Galileusz, Kopernik, Kepler, Herschel, byli to wszystko synowie rodzin mało znanych i ubogich; wiemy też z biografii Mickiewicza, że i on wyszedł z drobnej szlachty, aby stanąć wyżej, niż współcześni mu synowie książąt i rodów senatorskich.

Bywają przecież talenta bardzo wysokie, które nie otrzymują należnego im uznania, bo takiego rozpowszechnienia dzieł swoich, na jakie zasługują, jak na przykład u nas Żmichowska. Są to jakoby malarze miniatur: tworzą wielkie piękności w formie misternej, wymagającej zatem głębszego, troskliwszego w nie wejścia, aby wykazały kunsztowne zalety swoje i tacy nie będą nigdy bardzo poczytni, — jeżeli są to pisarze; uznani i znani powszechnie, jeżeli są pięknotwórcami w zakresie sztuk plastycznych. Ale ci wzięli sobie część rzeczy inną, nie śmiem powiedzieć: lepszą — praca ich jest dla wybranych, którym daje biesiady duchowe i tworzą oni zastęp arystokracji ducha. Nieuwielbiani przez tłumy, mają za to — znów powtórzę: jak Żmichowska u nas — czcicieli gorących, wśród tych, którzy dosięgają sfery ich myślenia i czucia.

Zdaje się to rzeczą bardzo smutną, że najwięksi dobroczyńcy ludzkości pozostali bezimiennymi. Kto, na przykład dał ludziom ogień — kto pierwszy płomień jego rozniecił? Prometeusz — to myt; uosobnia on tych wszystkich, którzy sięgali po zdobycie iskry, oświecającej, ogrzewającej ludzkość. Uważniej patrząc na te rzeczy, trzeba powiedzieć: człowiek! Nikt nie wydał nic sam przez siebie: duch ludzki pracuje przez wieki i pokolenie podaje pokoleniu myśl twórczą, aż nagle w pierci jednej skupiają się rozproszone atomy myśli, wiedzy człowieka i dokonywa się jakiś czyn wielki: odkrycie, wynalazek jakiś przychodzi ubogacić skarbnicę mądrości ludzkiej i staje się z kolei własnością wszystkich.

M. I.

Marya Krystyna Hiszpańska.

Kobieta na każdym szczeblu drabiny społecznej zyskuje sobie jedynie przez uroków i przymiotów swych siłę — sympatią ludzką, ludzką życzliwość. Tak zwane cnoty kobiece są może dla niej owym przysłowiowym łutem szczęścia, którego nam potrzeba nawet obok funta rozumu, aby życie nasze nie stało się zawodem, bo współczucie bliźnich naszych pomaga nam niewątpliwie żyć — równa nam życia tego ścieżki, zawsze twarde dla nóg podróżnika, któremu tego braknie. Obrazem kobiety, umiejącej z zadziwiającym szczęściem kierować się wśród trudnych życia okoliczności, jest Marya Krystyna Hiszpańska, panująca spokojnie i cicho w kraju najtrudniejszym do rządzenia, bo mającym poza sobą świeże jeszcze wspomnienia przejść burzliwych, wichrów stronnicych, rozwinętych tak, jak może nigdzie za czasów naszych. To też jeden z podróżników zapytał się o wytlomaczenie tej zagadki Hiszpana, wysoko postawionego męża stanu, który poprzednio stał w szeregu opozycji i zaliczał się do party republikańskiej: — Jak się to dzieje, że królowa Krystyna od lat kilku tak spokojnie na stanowisku swoim utrzymać się zdoła, zwłaszcza, że jej niedawno

jeszcze utrudniały zadanie knowania księcia de Montpensier, pragnącego zająć jej miejsce?

— Dla tego — usłyszał on odpowiedź, że królowa jest uczciwą, czystą kobietą, która budzi w ludziach dla osoby swej uszanowanie — że jest kobietą cnotliwą, nie kłamie, fałszem się nie rządzi, jest przytem prostą i skromną, ma serce dobre i każdy, kto ją zna, wie o tem, iż obowiązek jest w jej oczach czemś, z czego jej się zwolnić niegodzi. Miłość ludzka stanowi o jej potęgę. Kobiety zwłaszcza są jej gorącymi stronnicekami, dlatego, jak powtarzam, że jest bez plamy...

Znaczący to, że kobiety, szczególnie wzięte na ogół, mają uszanowanie dla takiej dostojności kobiecej, której szata jest czystą i niczem niesplamioną. Dlatego-to kapłanki Starożytności takimi być musiały; dlatego-to cnota bez skazy jest do dziś dnia wymagana od każdej z tych, która na świeczniku staje i przewodniczyć innym pragnie... Hiszpan tłumaczył to podróżnikowi, że popularność, której z tego względu królowa Krystyna między ludem, a głównie między picią swoją, używa, jest jej potęgą — jej potęgą owiele wyższą, niż gdyby była na względach polityki oparta. Królowa Krystyna — dodał ów Hiszpan — popełniła w tym kierunku błąd niejednego, ale cnotliwość jej nie dała się szali losu na przeciwną stronę przeważać. Uczucie wiele znaczy i zawsze wiele znaczyć będzie wśród świata ludzkiego: otóż pani ta, mając je po stronie swojej, utrzymuje się przy władzy. Jest przytem rozumna, dostojnie taktowna, ma serce dobre, co też jest u kobiety siłą oddziaływającą ogromnie. Ta wdowa w żalobie po mężu, któremu była uczciwie wierną żoną, ta tkliwa matka sieroty, gorąco kochanej, rozzbraja nawet nienawiści stronnice. Stoi wobec narodu, jako przedstawicielka praw swego syna i na chwałę natury ludzkiej powiedzieć to trzeba, że w podobnych razach niełatwo się podnosi ręka, któraby się tu na gwałt ważyła. A gdy czas w ten sposób upływa, wyrabiają się przyzwyczajenia, ludzie żywią się z porządkiem rzeczy przyjętym; a że przytem królowa jest rozsądną i nie przekracza praw swoich, samowoli unosić się nie pozwala, więc jej popularność nie jest nigdy przez żaden fałszywy ton z jej strony podkopana.

Zmarły król Alfons, który był człowiekiem wyższego umysłu i miał serce, dobrą małżonkę swoją tkliwie kochał, jak świadczy o tem — jak świadczy o wzajemnej ich dla siebie miłości wiele pamiątek, znajdujących się w prywatnych ich apartamentach królewskiego pałacu w Madrycie. Marya Krystyna była już drugą żoną króla Alfonsa XII, przecież potrafiła w sercu męża miłość bardzo gorącą i jest ślad tego: w gabinecie królowej znajdują się portrety ich obojga, podpisane też przez oboje jednobrzmiącym uczuciem wyrazem: „Dwie dusze a jedna myśl... dwa serca a jedno w nich bicie..."

Ale jak w dramacie Schillera „piękne dni w Aranjuez przedko minęły..." Śmierć króla uczyniła wdowę królową-regentką aż do pełnoletności syna, a boleś ćprzeżyta i godność nowa, złączona, zwłaszcza w Hiszpanii, z odpowiedzialnością wielką, przydała jej jeszcze powagi. Choć młoda jeszcze, bo w Lipcu skończy dopiero lat trzydzieści dwa, już od tej chwili nie pomyślała o zabawie, o żadnym używaniu życia na rachunek osobistego szczęścia, aby stać wobec narodu w całym znaczeniu tego wyrazu, jako *królowa matka*. Jak królowa Wiktoria ubiera się od śmierci męża czarno, i dopiero w ostatnich czasach jest w tym ubiorze coś ozdobności, zawsze przecież poważnej. Niegdyś pełna, kwitnącej urody, obecnie zeszczupiała, co ją przy dobrym wzroście powabnie wysmukłą czyni. Publicznie występuje zawsze tylko z synkiem swoim, który liczy lat cztery. Dwie starsze córki, jedna dziewięć, druga sześćioletnia, są również tkliwie przez matkę kochane. Sama wychowaniem ich kieruje; mimo etykiety madryckiego dworu przebywa z niemi codziennie choć godzin kilka, porankiem od 8-ej do 10-tej godziny, bo dodać trzeba, że królowa wstaje rano, a zatrudnienia ma tyle, że musi mieć rozkład czasu stały, aby go jej na żadną powinność nie zbrakło.

O godzinie 10-ej, królewskim swym obowiązkiem czyniąc zadość, przyjmuje księcia Medina Sidonia, pełniącego urząd marszałka dworu;

Potem bezzwłocznie daje posłuchanie komendantowi Madrytu, a następnie dwóm generałom z odpowiednimi raportami. Potem, około godziny jedenastej, przybywa sekretarz stanu wraz z drugim jakim ministrem, przynosząc papiery, które własnoręczniego podpisu królowej wymagają. Wprowadził to jeszcze Alfons XII, aby sekretarz stanu miał zawsze obok siebie drugiego ministra, a to, aby uniknąć nieporozumień, mogących wyniknąć z niedostatecznego zrozumienia słów królewskich, z wyłożenia ich sobie mylnego lub naciągniętego dowolnie. Co Czwartek odbywa się w tym czasie zebranie Rady Stanu, której królowa zawsze prezyduje osobiście. Dopiero o godzinie pierwszej może spocząć po pracowicie spędzonym poranku i wtedy dopiero siada do śniadania w małym kółku, które spożywa wraz z bliższem otoczeniem swoim, nieprzechodzącem nigdy sześciu osób, oprócz niej i siostry męża, owdowiałej księżny Izabelli, która jest starszą od niej i liczy już rok trzydziesty dziewiąty.

Trwa to do godziny 3-ej. Następnie przyjmuje królowa sekretarza swego, ożenionego, z jej damą dworu i rodaczką, hrabiego de Morphi, oraz panie, dwór jej składające. O godzinie 3-ej następuje zwykle, jeżeli coś ważnego nie stanie tu na przeszkodzie, przejażdżka, odbywana zazwyczaj powozem po alejach Madryt otaczających, a które są rozległe i bardzo piękne. Królowa jeździ też i konno, podobnie jak księżna Izabella, która jest zamilowaną amazonką; ale posiada ona pewien delikatny takt kobiecy, dla którego nie chce oddawać się upodobaniom więcej męzkim, i wogóle sportmanek nie lubi. Przecież wie, że powinna się czasem ludowi tak pokazać, aby jego uczucia patriotyczne zadowolnić, i dwa razy już od czasu wdowieństwa swojego odbywała przegląd wojsk konno na czele generalnego sztabu.

Pałac królewski leży na samym już końcu miasta po jego wschodniej stronie. Madryt zbudowany jest na wyniosłym płaskowzgórzu, i pałac wznosi się na stromej spadzistości, która niemal prostopadle spuszcza się ku rzece Manzanares, dając widok wspaniale piękny na wysokie szczyty gór Guadarrama, których wierzchołki stoją w zimie śniegiem pokryte. Jakkolwiek z wierzchu gmach ten uderza tylko starością swych murów, przecież wewnątrz jest bardzo bogato, pysznie urządzony. Apartament królowej i tuż zaraz obok znajdujące się pokoje małego króla są położone na południe i łączą się ze sobą wazkiem przejściem, ze schodkami, które służą wyłącznie dla królowej. Jakkolwiek całe miasto niezmiernie późno spać się kładzie i niezmiernie późno budzi się ze snu, królowa Krystyna po nocach długo nie czuwa i rano wstaje. O siódmej godzinie już jest na nogach i w pokoju swoim kawę albo czekoladę pije i za raz potem do dzieci, do króla, idzie.

Po powrocie z popołudniowej przejażdżki, znowu się rozpoczyna dla niej praca urzędowych przyjęć. O 5-ej przechodzi królowa do komnat, przeznaczonych na te zebrania. Zwykle zbierają się tam przeważnie osoby do dworu należące, wyżsi dygnitarze, rodziny grandów, ale we Wtorki i Soboty ma tam przystęp każdy z tych już sfer społecznych, które mogą żądać zaszczytu oglądania królowej i pragną jej się przedstawić. Przyjęcia te odbywają się zbiorowo, ale królowa pojedynczo przyjmuje przedstawiające jej się osoby, które zwykle mają do niej jakąś prośbę, jakieś żądanie, więc też audyencje trwają zawsze dłużej niż do 7-ej, czasem do wpół do ósmej. Niemniej dobroć królowej nie pozwala jej nigdy okazywać nikomu znudzonego oblicza, i jest zimno niedostępna tylko dla kobiet, na których życiu ciąży zarzut lekkomyślności.

Królowa Krystyna jest z natury niewyniosłą, pełną miłego wdzięku i prostoty kobiety; że przecież duch starej, arystokratycznej formalności przechował się w przepisach dworskiej etykiety, przyjęcia dworskie przedstawiają mieszaninę średniowiecznej pompy ceremonialnej z prostotą większą, niż u niejednego dumnego granda, a nawet starej krwi hidalgas. W czasie choroby Alfonsa XIII można było doliczyć się co najmniej dziesięciu tysięcy takich, na liście odwiedzających zapisanych osobistości, które powodowała jedy-

nie żywa chęć zasiągnięcia pewnych o zdrowiu małego króla wiadomości.

Po odbyciu obowiązku, uciążliwego nawet dla osoby tak dobrej, tak ludzkiej, jak królowa Krystyna, potrzeba jej przebierać się czempredzej, aby przed samą godziną ósmą usiąść do stołu, przy którym znajduje się zwykle około 15 osób. Tylko wtedy, gdy królowa matka, to jest była królowa Izabella, jest w Madrycie i do stołu zasiada, liczba zaproszonych zwiększa się do 40, 50 osób. Gdy przecież teraz właśnie jeden z arcyksiążąt austriackich, brat królowej, w Madrycie bawił, przysłałny przez Franciszka Józefa, aby podczas choroby małego króla siostrze do pomocy i pociechy był, dworska etykieta wcale się nie zmieniła.

Po obiedzie panowie oddalają się na cygara, panie rozmawiają, grają na fortepianie, a niekiedy wkarty, w bezika. Królowa bardzo muzykę lubi, sama gra bardzo dobrze i często z księżną Izabellą na cztery ręce grywa. Po dziewiątej królowa do swoich pokoi idzie, gdzie lubi się do czytania, ale nie zawsze może, bo czeka ją tu często sekretarz jej, hrabia Morphi z dziennikami, w których cenzura coś przekreśliła i ledwie o 12 następuje spoczynek. Jest to zdaniem ogólnem, że w Hiszpanii żadna kobieta pracowitszego istnienia nie prowadzi.

Czyni to matka dla syna, i ztąd to tak wielki szacunek, tak wielką miłość ludzką sobie jedna, i dlatego kobiety jej państwa tak ją kochają — są tak gorącymi stronniczkami jej rządu.

Królowa jest bardzo muzykalną. Sama gra z zamilowaniem i talentem już pewnym, dobrą muzykę lubi też bardzo, i ztąd popiera operę włoską, która daje przedstawienia w *Teatro Reale*, ale bywa i w teatrach hiszpańskich. Jest tam zawsze na każdym pierwszym przedstawieniu sztuki ważniejszej i dopiero w gorące już lato wyjeżdża według starego zwyczaju dworu hiszpańskiego na miesięczny pobyt w góry, do letniej rezydencji w la Granja, a ztamtąd do kąpieli morskich do San Sebastian.

Królowa z ministrami i izbami tak dobrze krąży, że pod berłem kobiety nie tylko upadku pod żadnym względem w państwie niema, ale jest jedno wielkiego znaczenia podniesienie: obyczaje stają się czystymi, poziom moralności w rodzinach wyższym się staje, kobieta wie, gdzie jest godności jej punkt najważniejszy i razem powiedzieć można, że królowa Marya Krystyna jest monarchinią dobrą — dobrą państwa swego administratorką, a rządzi niem, można powiedzieć, berłem cnoty.

M. I.

DRUGIE POKOLENIE

POWIEŚĆ ORYGINALNIE NAPISANA

przez

M. GAWALEWICZA.

(Dalszy ciąg).

Stary tenor był poważny i zasepiony.

— Nerwy, nerwy! — mówił do swego towarzysza — wszystko dziś nerwowe, rozstrojone, jak nieograne skrzypce.

Dostrzegłszy w jednej butelce jeszcze resztek szampana, zmienił nagle temat:

— Nie napilibyśmy się po kropelce? — spytał. — Szkoda, żeby zwietrzało. Trochę za ciepły, ale wypić można. Był czas, kiedy się kąpałem w szampanie, a dziś!.. *tempi passati*.

Karol podziękował gościom za traktament, ale odmówił.

— Piłem już dosyć — rzekł ze swoim zwykłym lakonizmem.

Usiedli przy stole, zapelnionym resztkami skrzypłych potraw, niedopitych szklanek i kieliszków, okruchów chleba, zmietami serwetami i rozstawionem w nieładzie nakryciem.

Bellini wysączył resztkę szampana.

— Tak, tak — zaczął z westchnieniem — *tempi passati*!..

Coraz smutniejsze myśli napływały mu do głowy; podparł się melancholijnie i zamglonemi oczyma patrzył w poplamiony sosem obrus na stole.

— Żeby to człowiek mógł dwa razy życie zacząć! — mówił, jakby w monologu — raz niby na próbę, a drugi raz na spektakl; ba, ba!..

— Wybrałbyś pan zapewne inną rolę dla siebie? — wtrącił Karol.

— Ja?.. nigdy, zostałbym przy roli artysty. To jedyna rola, która coś warta, ale trzeba mieć do niej powołanie — dodał żywo — o, bez tego nic!.. lepiej buty latać, niż ze sztuki robić rzemiosło. Jak mnie pan dobrodziej żywego widzisz — *parole*!.. miałem do wyboru: zostać doktorem praw, albo artystą. I wybrałem to drugie; rzuciłem do diabła szkoły, książki, naukę, poróżniłem się z ojcem i poszedłem na scenę. Mój syn tego nie robi.

— Pan masz syna? — zagadnął go Karol.

Staremu w oczach mgła się nagle przedarła, twarz rozjaśniła i ożywiła jakby dumą i radością.

— Jaktó, czy mam! — zawołał — jeszcze jakiego!.. jedynaka!..

— Także na scenie?

— Niech Bóg bronil.. nie miał talentu ani za grosz. Mój Franek, panie dobrodziej, poszedł praktyczną drogą, kształcił się w Paryżu na technologa. *Si si!*.. ma patent, ma głowę, chłop, jak dąb, a pół raza wyższy odemnie; tylko, *helas!*.. sztuką gardzi, teatru nienawidzi — uwierzysz pan?.. nie pozwala mi występować na scenie.

— I dlaczego?

Znajemski zachmurzył się i urwał:

— Dlaczego?.. dlaczego?.. ot, fanaberye! — zaczął z przymusem, jakby zakłopotany zapytaniem — jemu się zdaje *savez-vous*, że... że ja już karierę skończyłem, że jestem *un homme fini*. Kocha mnie za bardzo i boi się, wiesz pan... no, poprostu mówiąc, boi się mojego *fiasco*. Głupi dzieciak!.. powiem panu nawet, że mi tam jakąś pensyjkę chciał wyznaczyć, abym tylko nie wracał więcej na scenę. To śmieszne, prawda? Cóż on mi tam biedaczysko dać może!.. sam nic nie ma. Bez posady teraz, bez zajęcia chwilowo... i zamiast ja z jego łaski, *vous savez*, on niby-to z mojej żyje. Kruchoch nam obu — nadrabiając miłą, wtrącił z zartobliwym uśmiechem — no, ale to się zmieni. Franio ma patent, kawałek chleba zawsze znajdzie, a ja, gdybym tylko wrócił na deski...

Karol słuchał tych zwierzeń obojętnie, gładząc swoje baki i rozmyślając o czem innem.

Bellini z pod oka patrzył na niego; znać było, że kółuje, że ma coś na języku, czego nie śmie wypowiedzieć i szuka bocznej drogi do celu.

— O zajęcie teraz trudno, to prawda — za dużo ludzi, a mało chleba, — zaczął nanowo po pewnym przestanku — ale przy stosunkach, przy protekcji... bez tego, niestety, nic!

Znowu urwał; jakoś ciężko mu szło, jakby stracił wymowę, którą się cały wieczór popisывał.

— Żałuję bardzo, — rzekł wreszcie — że tak późno miałem zaszczyt poznać pana dobrodziej, osobiście, inaczej — byłbym się ośmielił... właśnie, przez pannę Wilę... udać się do szanownego pana z wielką... wielką prośbą.

Karol nieco sztywnie nachylił się do niego i ręką sięgnął po pugilares: przypuszczał, że się zanoszą na pożyczkę i gotów był jej nie odmówić pod urokiem protektorki, na którą się powoływał.

— Czem panu mogę służyć? — spytał chłodno, ale uprzejmie.

Znajemski poczerwieniał, jak oparzony, rzucił się na krzesło i, szybkim ruchem powstrzymując rękę Karola, zawołał z bolesną urazą w głosie:

— *Mais m'sieur, pour qui me prenez-vous?*... pan dobrodziej mnie źle zrozumiałeś. Moja prośba tyczyła się mego syna; to ojciec, nie żaden *cabotin* udawał się do pana.

— Ah!.. zatem?..

Karol, zbity z tropu tem nieporozumieniem, cofnął rękę od pugilaesu, poznawszy zapóźno swą pomyłkę.

— W czymże mogę być panu użytecznym? — spytał żywo, grzeczniejszym już tonem.

Bellini otarł spótniałe czoło i, jaskając się, zaczął: — Myślałem, że pan dobrodziej... przy dobrej woli... gdyby się znalazło jakie miejsce wolne w pańskiej fabryce, .. gdyby mu potrzeba było zdolnego człowieka... Franio ma patent i mógłby być użytecznym na stanowisku...

— Ach, więc to o to tylko chodzi?... —

— A o cóżby innego?... czyż ja wyglądam na takiego, który... *Oh, m'sieur, vous m'avez mal compris!*

Twarz mu się zmieniła, zgnębiony był i zmartwiony posądzeniem, które go upokorzyło.

— Ależ, panie Znajemski, — tłumaczył się Fatt — ja nie miałem zamiaru ubliżyć panu. Myślałem w pierwszej chwili, że będę mógł tylko w czym wygodzić...

— Dlatego, że ja artystą?! — z goryczą przerwał stary śpiewak. — O nie, panie Fatt, — Bellini z niczyjej łaski chleba nie jadł i jeść nie będzie!

Głos mu drżał, oczy się zwilżyły.

— Jeśli pan możesz zrobić co dla mego Franika, — dodał wzruszony — będę panu szczerze obowiązany, jeżeli nie — *bien merci pour la bonne volonté* i nie mówmy więcej o tem.

Z godnością podniósł głowę i uklonił się młodemu fabrykantowi.

Rozmowę ich przerwał w samą porę Tonio, który z czapką w ręku wszedł z budoaru, dając hasło do pożegnania znużonej gospodyni domu.

Wila dostała migreny i nie zatrzymywała swoich gości. Nie wstawała wcale z ottomany, pozwalając całować się w rękę Toniowi z jednej a Fattowi z drugiej strony.

— Pojutrze gram — szepnęła ze znaczącym naciskiem do Karola — zobaczę pana w teatrze?...

Znajemski pożegnał wszystkich milczącym ukłonem; był chmurny i urażony do głębi niezręczną domyslnością młodego przemysłowca, który go wziął za wyzyskiwacza lub żebraka.

Wyszedł pierwszy, nie czekając na resztę towarzysztwa.

— Dokąd pan idziesz? — spytał Tonio Karola, gdy się znaleźli za bramą.

— Ja?... do domu. A pan?

— A ja do Jańskiego.

— Teraz?... już po pierwszej.

— Właśnie sama pora. Mamy partyjkę. Pójdź pan także, spróbujemy szczęścia. Dawno pana nie widziałem w naszym kółku.

Karol przypomniał sobie niezalatwione rachunki i pogłoskę, którą mu wczoraj przyniósł Pęczyński z miasta.

— Poczekaj pan, — rzekł po chwilowym namyśle — pójdziemy razem. — Mam z Jańskim i tak interes do załatwienia.

Wsiadli do dorożki, dla pośpiechu, i pojechali.

W kwadrans później przy zielonym stoliku, w kawalerskim salonie Jańskiego, Karol Fatt spotkał się ze swoim przyszłym szwagrem, baronem Turnaurem, którą, zajęty grą, z talią kart w rękach, powitał go słowami:

— Karolu, idziesz z nami?... na wiele?... tysiąc rubli w banku. *Mieux vaut tard, que jamais.* Zróbcie mu miejsce, niech siądzie i spróbuje też szczęścia.

I dwaj przyszli szwagrowi zaczęli rozgrywać między sobą bank, otoczeni przez ciekawych partnerów.

Przed Apeciem kupka banknotów rosła nieustannie.

V.

Grande vitesse.

Dwa zaręczynowe obiady na cześć narzeczonych odbyły się kolejno w ciągu tygodnia, jeden u starych, drugi u młodych Fattów; pierwszy miał charakter zebrania ściśle rodzinnego, bez ostentacji wielkiej, bez zaproszonych gości, bez wystawnego menu. Dobry, domowy, mieszczański obiad,

zgotowany wprawdzie przez kucharza, wypożyczonego od młodych państwa, ale zadysponowany przez starą Fattową według tradycji stołu i kuchni, którą się przez tyle lat sama zajmowała.

Nastroj zgrupowanej rodziny był w połowie uroczysty, w połowie sztywny i chłodny.

Rozmawiano niewiele; na szczęście, dzieci, dopuszczone do towarzystwa starszych, swoim swobodnym i naiwnym szczebiotem ożywiały nieco atmosferę.

Wiluś szczególnie, korzystając z przywilejów w domu dziadka, pozwalał sobie dość często zabierać głos i chciał, żeby mu wszystko tłómaczono i objaśniano.

Z ciekawością właściwą dzieciom, pytał: dlaczego dzisiaj taki duży obiad, dlaczego Turturk z Lizą siedzą między dziadką a babunią, a kiedy mu powiedział, że będzie miał teraz w Turturku wujaszka, bo Lizia wychodzi za mąż za niego, nie bardzo rozumiejąc znaczenie matrymonialnych związków, zagadnął Lizę naiwnie:

— Dlaczego ty wychodzisz za mąż za Turturka?...

Nie byłby nigdy zrozumiał, co w tem niewinnym zapytaniu było niestosownego i dlaczego kazano mu, zamiast odpowiedzi, cicho siedzieć i być grzecznym.

— A dlaczego ja jestem niegrzecznym? — indagował dalej matkę, która mu zapowiedziała, że pójdzie precz od stołu, jeśli tak dużo mówić będzie.

Tonia zrobiła zaraz wystraszoną minę i jeść przestała, gotując się do towarzyszenia bratczkowi dobrowolnie na to wygnanie; ale chłopak nie dowierzał widocznie pogrożkom, czując za sobą rezerwę dziadka, i skoro się znowu rozmowa na dłuższą chwilę zerwała, spoglądając z uwagą po wszystkich, zapytał głośno:

— Dlaczego tak nikt nie rozmawia?...

Krzyś, który siedział obok Toni, przez cały obiad nie odezwał się ani razu do nikogo, układał z chlebowych gałek piramidy dla swojej małej faworytki i lepił dla niej prosiaczki z podwinie-tym ogonkiem, które ją w zachwyt wprawiały; stawiała je na pulchnej dłoni i kazała podziwiać wszystkim, powtarzając:

— O, o!... dziadziu!... o mamo!... patrz Wiluś!... widziałeś co takiego?... jaka śliczniutka świnka!...

Toastem na zdrowie narzeczonych zakończono obiad.

Fatt córkę pocałował w głowę i szepnął jej coś pociechu do ucha, a przyszłemu zięciowi podał tylko rękę do uścisku.

Wogóle dość ozięble zdawał się traktować barona razem z jego arystokratycznym tytułem, wytworną powierzchownością i salonowymi manierami; uważał go za człowieka z obcej sfery, która mu niczem nie imponowała a z którą teraz tylko przypadkowo wypadało mu się zetknąć.

Zezwolenie na związek swej jedynaczki z baronem dał przez zaufanie do starszego syna, o którego dobrym wyborze nie chciał wątpić.

— Ja tobie wierzę — mówił do niego — twoje słowo mi wystarcza. Kiedy ty swatasz swojego przyjaciela — to dlaczego ja nie miałbym mu dać Lizy?... niech ją bierze, będzie miał dobrą żonę.

Przy pierwszej wizycie Apcia rzekł mu:

— Miło mi poznać pana; mój syn dał swój głos za pana, to dla mnie dosyć. To tyle znaczy, jakby podpisał weksel na wasze szczęście, — dodał z uśmiechem, klepiąc stojącego obok Karola po ramieniu.

Obiad u młodych Fattów był wspaniałą ucztą, urządzoną ze zbytkiem wyszukany; przyrządzało go przez dwa dni trzech kucharzy, do stołu zasiadło czterdzieści osób zaproszonych, ośmiu służących uwijało się z półmiskami, rozlewało przepyszne wina, roznosiło potrawy, których spis na brystolowych kartach, ozdobionych ręczną malaturą, leżał wraz z nazwiskiem wydrukowanym każdego gościa przy jego nakryciu.

Zastawa stołu była wspaniała; umyślnie sprowadzony ogrodnik ubierał go kwiatami, przepyszny serwis ze złożonemi monogramami, cała bateria kieliszków, czeskich pucharów, szklanek, przystawek, niezliczona mnogość srebra, piramidy z cukrów i owoców — pływały się w świetle

brązowych kandelabrow i kinkietów gazowych.

Towarzystwo składało się przeważnie z przedstawicieli wielkiego przemysłu i kupiectwa, z młodych, pięknych kobiet w strojnych toaletach, obsypanych klejnotami, z dojrzałych mężatek, zastępujących wdziek i urok młodości nadętą powagą, z panien, rywalizujących z mężatkami wystawnością toalet, z mężczyzn, odznaczających się różnaitością fizioonomii od pospolitego typu spanoszonego filistra do arystokratycznych figur klubowców, jak z żurnala wyciętych.

Grzysiecki, ze swoją miną znudzonego męczennika, który poświęca się dla tak nudnych i pospolitych rzeczy, jak obiad proszony, z przesadną dystynkcyą wygłosił mowę; oparty jedną ręką o stół, w drugiej trzymając zmiętą serwetę i gestykulując nią z należytem umiarkowaniem dla nadania większego efektu swoim zimnym, toczonym frazesom, zwracał się do swoich słuchaczy, powtarzając zaczęsto może:

— Penowie i peniel!...

Była to mowa adwokacka, oficjalna, mowa radcy prawnego bogatej firmy, która miała prawo przy nadarzonej okazji wymagać od niego tego popisu elokwencji z podwójnych względów: ze stosunku urzędowego i z towarzyskiego, w jakim do rodziny Fattów pozostawał.

Biedna Liza przez całe dwie godziny, które trwał obiad, przeciągając się w nieskończoność, siedziała jak na cenzurowanem, bledsza, niż zwykle, pomiędzy narzeczonym a bratem starszym, i udawać musiała swobodną i ożywioną, odpowiadając na skierowane ku niej zapytania, trącać się swoim kieliszkiem z życzliwymi gośćmi i słuchać częstych powinszowań, mniej lub więcej wymownych i zręcznych.

W całym tem zgromadzeniu odbijała od wszystkich typowa postać starego Fatta, w nieśmiertelnym oliwkowym surducie z aksamitnym kołnierzem, w czarnym atłasowym halsztuku, z przegladzonemi niedbale włosami, opartego przy stole na tradycyjnej grubej trzcinowej lasce z rogową gałką.

— Mógł być też ojciec wdziac frak, chociaż ten raz wyjątkowo, — mówił z tego powodu z pewnym wyrzutem Karol do matki. — Dziwię się, że mama tego na ojcę nie wymogła

— Ja?... mój drogi, znasz przecież ojca! — usprawiedliwiała się przed synem — dobrze, że i tak z domu się ruszył. Wiesz, jak nie lubi licznych towarzystw.

— No, dobrze, ale żeby jeszcze dla Lizy tego nie zrobił!...

Widocznie to lekceważenie konwenansu i form światowych ze strony ojca psuło mu humor.

— Mojemu staremu się zdaje, że my jeszcze żyjemy w czasach mamutów; — tłumaczył się w żartobliwy niby sposób przed przyszłym szwagrem — wdział swój przedpotopowy surdut i myśli, że to najwyższa gala.

Baron pobłażliwie się uśmiechnął.

— Zrobił to zapewne przez roztargnienie, — odparł — ludzie starej daty mają prawo trzymać się starej mody.

— No, tak, ale nie uwierzysz, jak mnie to razi!...

— Drobnostka.

Więcej od oliwkowego surduta ojca mogła zwracać uwagę nieobecność młodszego brata w tem zebraniu.

Krzyś od czasu przemówienia się z Karolem, trzymał się od niego zdaleka, a nagły wyjazd Pęczyńskich, którego powody, jakkolwiek ukrywane, były łatwe do odgadnięcia, naprężył jeszcze bardziej stosunek pomiędzy obu braćmi.

Młodszy unikał starszego i miał do niego żal nietajony.

Ożywiony humor biesiadników, którzy wstawszy wreszcie od stołu, zapełnili przy czarnej kawie i likierach salon i gabinet Karola, objawiał się w wesołym chaosie rozmów i śmiechów, rozbrzmiewających dokoła.

Pani Wanda, w doskonałym usposobieniu, spełniała niestrudzenie obowiązki gospodyni domu, krzątała się od jednej grupy do drugiej, rzucała mężczyznom po słówku, kobietom opowiadała o przygotowaniach do wyprawy, po którą najda-

lej za parę tygodni będzie musiała z Lizą i mężem wyjechać zagranicę.

— Prawdopodobnie zabawimy tam z dziesięć dni, a może cały miesiąc, — mówiła — to będzie zależało od interesów Karola. Co do mnie, tak się cieszę z tej podróży, jakgdybym po własną wyprawę jechała.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

„Sprawa Zygmunta Unruga“, epizod historyczny z czasów saskich 1715—1740 (I) przez *Alexandra Kraushara*; T. I: 1 karta wyobr. b. Ratusz Trybunałski w Piotrkowie, str. 1—18 Przedmowa, 19—112 Część I, 113—251 Cz. II, 253—268 Annexa, 269—274 spis; T. II: str. 1—145 Cz. III, 147—231 Cz. IV, 233—247 Annexa, 249—252 spis. Kraków, 1890, 12-o.

Sprawa Unruga o bluźnierstwo przeciw Bogu dotychczas dziejopisarstwu naszemu była zaledwie wiadomą; Kraushar pierwszy uczynił ją znaną, zebrałszy z dużym mozolem dowody rękopiśmienne i drukowane: pierwsze, głównie urzędowe, z metryk naszych, drugie — zagraniczne, ukrywające się po bibliotekach naszych i obcych. Wzmianka wycytana w *Das betäubte Thorn* Jabłońskiego dała pierwszy popęd do poszukiwań i zachodów, których owocem jest sumienne opracowanie dwutomowe w samym końcu roku przeszłego wydane. Zamiłowany w przedmiocie swoim autor poodkrywał sobie bardzo liczne źródła wiadomości i, zacierpnawszy z nich umiejętnie, dał nietylko opis samej sprawy, ale życiorys człowieka, a poczęści i obraz życia politycznego owej smutnej epoki — w głównych działaczach swoich, a zwłaszcza w istnym zbrodniarzu Augustie II, nie dość jeszcze przez dziejopisarstwo napiętnowanej. Zasluga autora jest nietylko starcie pyłu niepamięci z wypadków zapomnianych, ale i myślicielski spokój i wszechstronność poglądu dziejopisarzkiego w ocenianiu tych wypadków. Pod tym ostatnim względem historycy nasi, zapatrzeni tylko w te zjawiska, które badali, niejednego dopuścili się grzechu: ferowali zbyt surowe wyroki na daną przeszłość, jakoby wyłącznie tylko winną, kiedy obojętnie się poza miedzę własną przekonałoby ich, w niejednym wypadku, że wespół z tą powszechnością, którą tak czarno malowali, grzeszyła i ludzkość cała, a zdroźność, gwałt i wogóle wszelka ujemność nie była chorobą specjalną umysłów i charakterów pod pewnym stopniem długości i szerokości geogr. działających, lecz wynikała z powszechnego stanu współczesnej ludzkości, z jej surowej jeszcze społecznej kultury.

Opowiadając przygodę, rzeczywiście na czarny regestr dziejów wciągniętą, Kraushar nie zaniedbał czytelnikowi przypomnieć, że ta straszna nietolerancja, ten fanatyzm, ta ślepotą umysłów w jedną tylko stronę wyteżonych — które występują u nas w sprawie Unruga, po całej Europie także szerzyły zarazę nienawiści i niemiłosierdzia. Była nietolerancja protestancka i nietolerancja katolicka. Kto odmienną wiarę wyznawał, a raczej odmiennego obyczaju religijnego się trzymał, ten był już wrogiem, tak dobrze we Francji, Hiszpanii, Austrii, Polsce, jak w Anglii, Danii, Szwecji, a nawet mimo zasady: *paritas cultuum* — w Niemczech. Nie brano go odrazu na szafot, ale go wyrzucano z forum, krępowano go cywilnie, wdzierano się w jego sumienie i rozum, — pozwalano mu tylko istnieć, a nie żyć. Kiedy Piotrowskiego wydalał z Sejmu (ob. Łukaszewicz), stany saskie przysięgały katolików zakazem nabywania nieruchomości i posłowania na sejmy. Wszakżeż to dopiero w końcu XVII i na początku XVIII wieku wykształciło się okrutne prawodawstwo Wilhelma i Maryi przeciwko Irlandczykom i katolikom; za Augusta II jeszcze huczało po Europie echo dragonad Ludwika XIV

o zamordowanie Calasa przez tak zwaną sprawiedliwość przypominając straszną wymowę swoją wznowiony przez Voltaire'a proces. Tylko ogarniając całkowity widnokrąg dziejów, można poznać właściwy kształt i koloryt moralny i polityczno-społeczny pojedynczego przedmiotu, obranego za cel widzenia. Ogólna ciemnota wieku, powszechna natura ludzka, wicherząca i wicherzona w poszczególnych formach indywidualności narodowych — daleko silniej działały w zakresie tych wszystkich pojęciowych zaburzeń, niż ściśle do danego miejsca i danych gromad społecznych ograniczone czynniki politycznego i społecznego ustroju. W końcu T. II-go autor przytacza z Buckle'a kilkadziesiąt wypadków europejskich, w których prześladowano myśli, wiarę, przekonanie naukowe, dlatego, że się nie zgadzały z pewną tradycją lub konwenansem za nieomylny przyjętym. Nie od rzeczy będzie chyba przypomnienie na tem miejscu owych kilkunastu tysięcy czarownic, które Thomasius od śmierci ocalał podczas długiego swego zawodu sądowego — i to właśnie w krajach protestantyzmu, który, niby-to przynosił światło i rozpałał ognie postępu jeszcze na półtora wieku przedtem.

Sprawa Zygmunta Unruga, wytoczona w trybunale piotrkowskim, miała źródło swoje w prądach reakcji religijnej, która po wojnie trzydziestoletniej, a u nas przy schyłku wojny z Karolem Gustawem, zaczęła brać umysły w niewolę, a w XVIII w., wraz z upadkiem umysłowości, doszła do smutnego swego zenitu. Oskarżono człowieka wykształconego, dobrego obywatela, niegdyś stronnika Leszczyńskiego a zwolennika poczynającej się Konfederacji Tarnogrodzkiej, o bluźnierstwo przeciw Bogu. Czemże się go dopuścił obwiniony? Prawdziwie, uwierzyć się dziś nie chce w istotę czynu — taką, jaką urzędowe dowody historyczne podają. Kalwin z wyznania, miał Unrug w domu swym, w Pońcu, w Kościańskim, raptularz, do którego wciągał zdania i fakta, wycytane w książkach, nawet napisy wybitniejsze na pomnikach i bramach, — a książki czytać lubiał, bo po wyjściu z gimnazjum w Lesznie, skończywszy uniwersytet we Frankfurcie nad Odrą, do oświaty Ignąć nie przestał. Wśród wypisów znalazło się i zdanie, istotnie zdolne każdy umysł, zwłaszcza w początkach XVIII wieku, uderzyć: „Czyliż na to prawda zbawienna zstąpiła z niebios, aby dla mieszkańców globu naszego, być wiekiustym powodem błędów, wojen, nienawiści i rozdrożenia?“ Wyjął Unrug tę myśl ze zbioru peryodycznego, wydawanego od r. 1696—1710 w Hadze p. t. *Esprit des cours de l'Europe*.

Raptularz wraz z wyjątkiem powyższym dostał się w sąsiedztwo; tu zajrzał do niego człowiek chciwy i zły, a fanatyk, niejaki Andrzej Potocki, pisarz grodowy gnieźnieński. Pozwolono mu zabrać książkę ze sobą: już jej z ręką nie wypuścił. Pokazał ją na sejmiku średzkim: stał się huk wielki. Wydano *laudem* zobowiązujące chwilowego posiadacza do zaskarżenia wrzekomego przestępcy przed trybunał. Tego tylko chciał niegodziwiec; miał już Unruga w garści: zażądał od niego okupu. Unrugowie nie umieli jakoś, czy nie chcieli, kuć żelaza na gorąco, a groźbę Potockiego przyjmowali z niedostateczną powagą. Sam obżalowany nazywał sprawę swą raczej mieszkową (*cruminalis*) niż karną (*criminalis*). Nie chciał przecież stawić się osobiście, i puściwszy pierwszy termin zaocznie, w drugim wyręczył się adwokatami, którzy pomimo otrzymania szczegółowego *Status causae* sprawę niedołężnie prowadzili, bądź z nieumiejętności, bądź z braku odwagi. Z obwinieniem o bluźnierstwo połączył niegodziwy delator i skargę o obrazę majestatu królewskiego, przytaczając z excerptów unrugowskich jakoby do Augusta Mocnego stosujące się zestawienie *Augustulus* i *Augustus*. D. 27 Listopada 1715 r., zapadł wyrok Trybunału Piotrkowskiego, skazujący Unrugę: najpierw na odcięcie ręki następnie na wyrwanie języka, który wraz z ręką miał być natychmiast spalonym, a wreszcie na ścięcie głowy mieczem. Ponieważ skazany nie stanął i już po pierwszym wyroku nie miał jawnego zamieszkania, włożono tedy na sądy ziemskie i grodzkie obowiązek wykonania na nim wyroku, w razie ujęcia. Retoryczną formę obu-

żenia w owym wyjątku z *Esprit des cours*, delator przekuł w twierdzącą — a trybunał w fałszerstwie tem znalazł fundament dla swego wyroku. Na skazaniu samej tylko osoby nie poprzestano: wyzuto go zupełnie z majątku. Czyhał na to Potocki. Połowa dóbr ziemskich, obejmujących oprócz Pońca jeszcze Kawcze, Szelejewo i Zduny, wraz z połową ruchomości dostała się delatorowi; druga połowa uniwersalnego mienia przeszła na skarb. Księgę „bluźnierczą“ skazano na spalenie bezzwłoczne na stosie w Piotrkowie — a czynności tej w zastępstwie nieobecności kata dopełniła Jejmość katowa, w licznej asystencji niegodziwością Unruga oburzonych a ciekawych.

Zaraz po wyroku Unrug ukrył się za granicą i usiłował tylko przez rodzinę i prawników opóźnić spełnienie okrucieństwa. Wdanie się konsystorza poznańskiego, któremu autor w gorących wyrazach sprawiedliwość oddaje, pozostało równie bezskuteczne przed zapadnięciem wyroku, jak i po nim. Nagły skon biskupa poznańskiego Michała Bartłomieja Tarły, odjął Unrugowi nadzieję pomocy ze strony, tego ewangelicznej czystości a wielkie wpływy posiadającego prałata. Zmarlały też dobre chęci wojewody poznańskiego Radomickiego. Posłuchanie, które sobie wyjednał w Guben w Brandenburgii u Augusta brat skazanego, Karol, stolnik wschowski, a następnie i on sam, to tylko przyniosło, że połowę majątku, zabraną na skarb, król pomienionemu Karolowi podarował, dla zachowania jej w ten sposób przynajmniej dla dzieci Zygmunta. Akt ten nosi datę bardzo wczesną, bo już d. 25 Stycznia 1716 r. Wznowienie sprawy w trybunale w latach 1717 i 1718 nie wstrzymało nawet egzekucji. Potocki, przy pomocy burgrabiego (woźnego) poznańskiego, Gruszczyńskiego, zająchał Poniec, ale nie zakosztował nawet owoców swej niegodziwości, zmarł nagle w końcu 1718 r. Wtedy znowu Unrugowie zrobili najazd i zabrali wszystkie zbiory z dóbr ponieckich.

Wywiązał się nowy proces, zakończony wyrokiem z Lutego 1719 r. Trybunał w nowym składzie nakazał exdwyżją pomiędzy Karolem Unrugiem a S. S. Potockimi; Gruszczyńskiego skazał na sześciotygodniową więź i grzywny; akcją wreszcie samego Unruga o ponowne osądzenie sprawy głównej z powodu znalezienia nowych dokumentów (*de noviter repertis*) ostatecznie oddalił. Listy, podania na sejmiki, odezwy do członków trybunału, suppliki, broszury, decyzja Sorbonny paryskiej z r. 1717, potępiająca wyrok pod pandektową formą sprawy Titusa z Semproniuszem — wszystko to udaremniło ostatecznie opór większości, prócz fanatyzmu znajdującej jeszcze podjętą w podrażnionej dumie narodowej. Unrug odwołał się do sprawiedliwości Stolicy Apostolskiej, na której zasiadał wtedy Inocenty XIII; Piotr Tarło, biskup poznański, popierał go szczerze przez umyślnego prokuratora w Rzymie; „Congregatio Sancti officii“ wydała w lecie 1723 r., postanowienie kassujące zupełnie wyrok Trybunału Piotrkowskiego: ale niechęć nuncjusza Santiniego dopomogła gniewowi szlachty do nadania temu objawowi najwyższej w Kościele Katolickim woli znaczenia nie większego nad to, jakie mieć mogła rezolucja Sorbonny, orzekająca, że wyrok gwałci wszelkie prawa boskie i ludzkie.

Dopiero w r. 1726 Sejm Grodzieński, pod wpływem zażaleń i skarg na trybunał, rozbudzonych przez podjętą już wtedy korekturę, a niewątpliwie i pod działaniem opinii europejskiej, potępiającej srogość okazaną w sprawie toruńskiej — zapewnił Zygmuntowi Unrugowi bezpieczeństwo osoby i życia i pozwolił mu swobodnie zamieszkiwać w Królestwie; tylko majątku już nie powrócił: zbrakło mu na to czasu, — a przez całe panowanie obu Augustów, z wyjątkiem drugiego sejmiku *pacificationis*, żaden sejm już więcej nie doszedł. Obowiązek naprawienia krzywdy zaciążył znowu na trybunale piotrkowskim. Tymczasem w d. 1 Maja 1732 r. w 56-m roku życia, zmarł zgębiony wygnaniec. W dziewięć lat po jego skonie dzieci nareszcie doczekały się tej sprawiedliwości, o którą on sam napróżno lat tyle kołatał. Trybunał wyrokiem z d. 1 Marca 1741 r. wszelkie pretensje successorów donosiela z za-

boru i zaszytych tranzakey wynikłe oddalił i wie-
kuiste o całej sprawie nakazał milczenie.

Tak zakończyła się sprawa Unruga. Autor opo-
wiada ją z wielką szczegółowością, porządnie, ja-
sno, z wdziękiem stylu a bez namietności. Sza-
nując zasadę niepodzielności życia, nie poprzestaje
na samem tylko zreferowaniu przygody unrugow-
skiej: wzbogaca zajmujące opowiadanie swoje
charakterystycznymi rysami działających osób,
instytucji i organów władzy publicznej; wyklada
pobudki psychologiczne w indywidualnościach po-
jedynczych i zbiorowych, opowiada nawet ważne
wypadki powszechnego znaczenia, oile one wpły-
wały na usposobienie osobistości działających,
a temsamem i na warunki rozwiązywania samej spra-
wy. Dzięki tej pełności opowiadania, czyniącej
zadostę, zarówno wymaganiom prawdy, jak pra-
wom sztuki dziejopisarskiej, dzieło przypomina
nam wszystkie ważniejsze wydarzenia z czasów
Augusta II: intrygi królewskie, matactwa Auro-
ry Königsmark, zerwanie z narodem i zdradzanie
jego najwyższych interesów, wybór Leszczyń-
skiego, bitwy z Karolem, sprawę gdańską Wiem-
berga, Konfederacyę Tarnogrodzką, działania
sejmowe z r. 1718 i 1726, sprawę toruńską, za-
targi z nuncyuszem Santinim, które ostatecznie
zakończyły się układem o opactwa. Rzecz pro-
sta, że przy malowaniu tak bujnego tła, przewo-
dnikami i doradcami autora musieli być Barto-
szewicz i Jarochoński. Charakterystyka nieto-
lerancyi europejskiej, obraz uniwersytetu frank-
furckiego, Sorbony i Kuryi rzymskiej w chwili
odwołania się do niej skrzywdzonego—dają dobry
podkład pod odpowiednie koleje życia samego
Unruga i jego sprawy.

Z Unruga nie myślał Kraushar robić bohatera;
w ostatnim nawet rozdziale swego opowiadania
wydał mi się zbyt surowym dla niego sędzią. Oto
jak ja sobie tego posiadacza nieszczęsnego raptu-
larza wyobrażam: Człowiekiem ideałów i idei
sam on nigdy być nie chciał i za takiego też ani
przed sobą, ani przed światem nie uchodził. Był
sobie zwyczajnym szlachcicem, niezwykłym tylko
przez swą krzywdę; był uczciwym pomimo prze-
rzucenia się do partyi saskiej—a nie on sam tyl-
ko się przerzucił: szedł w wielkim tłumie. Go-
rzej jeszcze działał się po sejmie 1736 r. Uniżo-
ność jego próśb była właściwością wieku, a zwła-
szcza społeczeństwa, w którym żył; pomimo tego
stylu jednak kalwinizmu się nie wyparł—jako
szambelan i pułkownik J. K. Mości za narzędzie
do jakichś nieczystych robót nigdy użyć się nie
dał, a przez swą działalność w r. 1703 i 4 umiał
sobie nawet wyrobić polityczne, a bezwarunkowo
dodatnie, stanowisko.

Opowiadanie swoje zakończył autor następują-
cemi słowy: „Ku istotnemu zaszczytowi wyższego
duchowieństwa katolickiego służyć będzie w spra-
wie obecnej pełne godności i tolerancyi zachowa-
nie się konsystorza poznańskiego, który od pierw-
szej do ostatniej chwili nie przestawał opiekować
się Zygmuntem Unrugiem i podnosić przeciw
spełnionemu na jego osobie nadużyciu głośniego
i stanowczego protestu.“

Na tem kończę sprawozdanie z książki, która
przedstawia wprawdzie jeden tylko epizod, ale
wskutek przyjętej metody w pracy pozwala też
zajrzeć i do wnętrza całej epoki. Pomimo sumien-
ności w opracowaniu wkrađło się kilka dostrzeże-
nych przezemnie błędów. Tom — str. 23: nie było
województwa ani Oświęcimskiego, ani Zatorskiego;
str. 128: Michał Bartłomiej, syn Jana Tarły, star-
szego wojewody sandomierskiego, zmarł w roku
1716, a nie 1715; T. II str. 76: Wschowę nazy-
wają Niemcy „Fraustadt“; str. 229: „Pochwała
La Harpe'a napisana przez Felonę“—raczej
wprost przeciwnie: Felonę przez La Harpe'a.—
I sama korekta wreszcie potrzebuje jeszcze kor-
rekty: T. I str. 119: „dwójga córek“; str. 162:
„jovialitum“; T. II str. 215: „r. 1732“ w dacie
śmierci Augusta II. Szczególniej teksta łacińskiego
dopominają się sprostowania, któreby je całkowi-
cie zrozumiałem uczyniło.

Stanisław Krzemiński.

Korrespondencya zagraniczna.

Kraków w Marcu 1890 r.

Dni karnawałowe przeszły szybko, niepostrze-
żenie, przynajmniej dla bawiących się, a takich
u nas, t. j. wszędzie na ziemi naszej, wielu, bar-
dzo wielu... Dziwić się bezwątpienia muszą oby
tej popędliwości naszej do zabaw. Tych ostatnich
i szczerzej do nich ochoty daleko więcej niż możno-
ści i źródeł do weselenia się. Wprawdzie odda-
wana zauważono u nas szczególną umiejętność:
z niewielkich dostatków wytwarzania źródła do
wydatków wcale niepospolitych.

Już nawet Imć pan Mikołaj Rey z Nagłowic,
zapisując swe wrażenia z przechadzki po rynku
krakowskim, mówiąc o drobnym przemyśle ubo-
ższych warstw mieszczaństwa, dziwi się, z kąd ich
stać na wszystko, i dodaje — „a wdy się żywią,
i w dobrych szatach chodzą... Słówek to rejow-
skie, zprzed trzystu przeszło lat, zaiste, i dziś mi-
mowoli nasuwa się pod pióro każdego korrespon-
denta, który uważniej rozglądnie się dokoła a mi-
luje to, co go otacza...“

Zagadkę tę, iż przy losach niezawsze pogo-
dnych, wobec możliwości małej, często zawiele się
wydaje — rozwiązują słowa również człowieka
XVI w., Seweryna Bonara, wielkorządcy krak-
owskiego, który, na „summaryuszu“ dochodów
i wydatków za dni swego wielkorządztwa napi-
sał: „pokazuje się więcej wychodu jak przycho-
du“... Zdaje mi się, iż bonarowska uwaga,
ostrzeżenie niejako, iż obficie wychodu, niż przy-
chodu, powinno być zapisane na każdych drzwiach
domów naszych... Gdybyśmy tego *memento* słu-
chali, mniej zapewne rozlegałoby się hiobowych
wieści...“

Ceniąc prawdę, niepodobna nie zrobić uwa-
gi, że klęski elementarne prowincyi tutejszej,
nie są objawem wyłącznie tutejszym; spo-
tykamy się z podobnemi w roku bieżącym
na całym południu wschodniej Europy. Brak
siana dla bydła, spowodowany zeszłoroczną
posuchą, główne źródło klęsk, nawiedził zarówno
okolice tutejsze, jak i kraje wschodnie, ku Woł-
dze i kaspijskim wodom obszerne przestworza
zalegające. Radzi się tu na to więcej, niż gdzie-
indziej, radzi się pomocą publiczną i prywatną.
Wśród zabiegów kół prywatnych lub jednostek
godne są zaznaczenia zabiegi lwowskich kobiet,
które dużo w tej rzeczy podjęły usiłowań. Nie
mogąc gotówką, pracą swą pragną one uczestni-
czyć w niesieniu pomocy mocno zagrożonej, bie-
dnej wieśniaczej ludności. W ich odezwie spo-
tykamy gorące nawoływania do podawiania
mrowczych usiłowań niewieściej dłoni, z której
pracy ma urosć pomoc biedakom. Igłą, szydeł-
kiem, nocą bezseną, ujętą troskom, zabiegom
domowym, ma się pomoc ta przysparzać; te drobne
narzędzia trudu niewieściego „zwyciężą tam
gdzie — na niwach — zawiodły plóg, lemiesz
i kosa“...

Nawet wystarcza niekiedy ofiarności tutejszej
na pewien zbyt ekscytywny. Mówię tu o to-
warzystwie zawiązanem wśród kobiet wyłącznie.
posiadającym już liczne filie po całej Galicyi,
a to w celu zapobiegania handlowi Czarnymi
i niesienia pomocy Murzynom Afrykańskim, któ-
rych niewolnicza dola jest opłakana. Nazywam
to zbytkiem, bo mamy u siebie o kogo się trosz-
czyć, i niema potrzeby aż do Afryki jeździć, aby
spotkać handel ludźmi... Znany wam zapewne
z pism codziennych głośny proces wadowicki —
którego koniec właśnie teraz się zbliża—dał nie-
jedną ilustracyę do długoletniego u nas, a ohy-
dnego, frymarku ludźmi, który był, i poczęści do-
tad jest, prowadzony przez licznych agentów
i wyzyskiwaczy różnego miana, zachęcających
nasz lud wiejski do emigracyi za ocean...
Wstrzymywanie naszych wieśniaków od wyno-
szenia się do Ameryki, oświecanie ich, bronienie
światłem, radą, pomocą od matactw szalbierzy,

stokroć to bliższe, bardziej na naszym sumieniu
zbiorowem ciężące zadanie, niż składanie grosza
na cele filantropijne afrykańskie.

Do licznych chorób społecznych, przyplatają-
cych się do nas w ostatnim dziesiątku lat, zalicza
się i ta afrykomania. Objawy jej były mniej
szkodliwe u nas, niż nad środkową Wisłą, gdzie
ten sport niemało grosza pochłoniął. Był czas,
iż na wszystkich poręczach wodozbiórki Wisły
środkowej wołały dzienniki o pieniądze dla pio-
nierów mazowieckiej cywilizacyi w pustyniach
afrykańskich... Wołania nie szły namarnie: znale-
źli się naiwni, czy też dobrodusznicy, co się i na tę
afrykańską plewę łapali. Sam znam pocziwca,
który sporo dukatów włożył w ową „potrzebę“
afrykańską. Pionierowie wraz z bocianami przy-
latywali pono z okolic Równika, ale dukaty
pocziwca mazowieckiego — z za morza już nie
wróciły.

W Krakowie ten chorobliwy afrykański objaw
znacznie później uczuły się dał i nie tak gwałtow-
nie o kieszenie uderzył: skończyło się, jak tu
wspomniałem, na towarzystwie filantropijnem,
niewieściem, z małemi wkładkami, zapobiegają-
cem handlowi Murzynami.. Syptomata naszej
choroby, jak widzicie, mniej groźne, łagodniejsze,
niewysysające wiele grosza z naszych anemicz-
nych kieszeni.

Miały i te spokojne symptomata gwałtownych
lekarzy, a był taką kuracyą odczyt jakiegoś wę-
drowca afrykańskiego, który powiedział nam, że
Murzyni sami nie chcą, by zaprzestano nimi han-
dlować i nad nimi się pastwić...

Ze sfer myśli i trosk o Afryce, schodząc na
grunt i bruk własny, widzimy, iż murzynów wie-
lorakiego miana nie brak nam, a są i tacy, co,
jak ów chłopiec znad Taśminy, gotowi postawić
wniosek o nabycie sobie ręki wymierzającej pla-
gi. Jednej z licznych warstw murzynów na-
szych przychodzą tu z pomocą zacną, rzeczywi-
stą — zaznaczam to skwapliwie, tak jak każdą
rzecz pożyteczną.

Pomyślano o szkole dla służących płci żeńskiej:
dla kucharek, pokojówek, które w Niedziele,
w poobiednich godzinach, zamiast, jak dotąd, od-
bywać tłumne, niekiedy zbyt wesołe, spacerki,
mają się uczyć. Rachunki, pisanie, czytanie, dla
tych, co niepiśmienne; religia, obeznanie się ze
stanem swego obowiązkami, z porządkiem, czysto-
ścią, oszczędnością, z głównymi zasadami etyki,
mało upowszechnionemi wśród sług naszych —
stanowią przedmiot wykładów. Jedną ze
szkół ludowych, przy ul. Smoleńsk, ustępuje sale
swe na te niedzielne wykłady, których kierunek
bezinteresownie obejmują nauczycielki ludowe,
a zwierchnictwo i inicjatywa są w ręku Towar-
zystwa Oświaty Ludowej.

Myśl widocznie odpowiada potrzebę, zgłosiło
się bowiem w pierwszych dniach po ogłoszeniu
o wykładach około trzystu kandydatek, tak, iż
musiano wstrzymać dalsze wpisy, z powodu braku
miejsca dla umieszczenia takiej liczby słuchaczek.
Znaczna liczba słuchaczek potrzebuje być podzie-
loną na kilka oddziałów: ztąd konieczność szer-
szej przestrzeni kilku sal, o co trudno narazie.
Ale Towarzystwo oświaty ludowej, zachęcane do-
brym początkiem, zainteresowaniem się tych, dla
których pracę podejmuje, ma zamiar w jesieni
drugą szkołę otworzyć.

Szczęście Boże, pracowitym usiłowaniom... oby
wytrwałość dopisała.

Kreśląc przeszłą mą korespondencyą i wymie-
niając szereg pomników, które stanęły tu przy
jednej z ulic, biegnącej równolegle do plantacyi,
nie przypuszczałem, iż i Mickiewicza pomnik ma
stanąć też w szeregu wspomnianych w przeszłej
korespondencyi pomników na przedmiejskiej ulicy.

Przed niewiele dniami postanowiono pomnik
wielkiego wieszczą wzniesić w tak zwanej miej-
scowości „poza Sławkowską bramą“, przy prze-
cięciu się ulic Basztowej i Długiej, u wejścia na
przedmieście Kleparz.

Gdy z czasem, uwieczniwszy pamięć własnych
znakomitości, do upamiętnienia obcych przystą-
pimy, wtedy Goethe będzie miał prawdopodobnie
pomnik na „Kazimierzu“. Będzie to rzecz dość
uzasadniona, bardziej, niż pomnik Mickiewicza
na Kleparzu, a to z następujących powodów:

Studia Niemców o Goethym, posuwając się coraz dalej na ścieżce badań, wykryły, iż wielki wieszcz niemiecki zwiedzał Kraków i stał wówczas na Kazimierzu, w dzielnicy miasta dość odległej, mocno zaniedbanej, przez Izraelitów obecnie wyłącznie zamieszkaną. Obszerne, a nowe studium o Goethym i jego stosunku do Polaków warte byłoby przekładu, lub chociaż wyczerpującego streszczenia. Charakterystyczną jest rzecz, iż Kraków nie posiada żadnych śladów pobytu Goethego w jego murach. Żadna z ksiąg w bibliotece nie posiada podpisu poety. Kto wie: czy wiedziano nawet, kto jest ów gość niemiecki, skromnie ulokowany w lichym zajazdzie na Kazimierzu?

Badacz, studyujący tak wszechstronnie, aże ścisłością niemiecką, stosunek Goethego do wszystkiego, co polskie i z życiem polskim związane, nie zapomniał i o dorywczych wierszykach, które wielki poeta wpisywał do albumów pań polskich. Było tego podostatkiem.

Pewnego rodzaju obeznanie się z biegiem naszych literackich spraw—z okresu rozwoju u nas romantyzmu—nie było obcem Goethemu. Nie posiadającemu języka polskiego trudno było należycie oceniać wartość naszych produkcji literackich: wszakże miał ogólne pojęcie o ich rodzaju, odwiedzającym go ziomkom naszym dawał trafne rady, obdzielał ich uwagami często nader cennymi. Z tych rad przedsześcioletnich notuję tu parę myśli.

„Szlachetne to są usiłowania — mówił Goethe do jednego z ziomków naszych — które się starają unarodowić poezję, wyrwać ją z toru naśladownictwa... Niech jednak młodzi poeci unikają przesady, niech się strzegą wad i błędów właściwych wszystkim nowowiercom, niech się chronią zbytnej gorliwości... Niech tworzą nowe wzory, ale niech starych śmieszna wzgardą nie okrywają...”

Taką apostrofą witał niegdyś stary Goethe młodocianą naszą poezję, tak zwaną romantyczną, upominając jej zwolenników, aby się strzegali zbytznego naśladownictwa.

We wspomnianych tu studiach o stosunku Goethego do Polaków nie spotykamy tych uwag; zacierpneliśmy je z innych wspomnień turystów polskich, którzy przed sześćdziesięciu z górą laty do Weymaru pielgrzymowali.

Gdy się patrzy na skrzętną zapobiegliwość Niemców, zbierającą i przechowującą wszystko, co się tyczy wielkiego ich wieszca, nasuwa się mimowoli pytanie: dlaczego tyle jeszcze szczegółów z życia Mickiewicza pozostało niezbadanych, tyle miejsc jego pobytu nieupamiętnionych?.. Pożyteczną byłoby rzeczą, aby ktoś pomyślał o sfotografowaniu w Odessie gmachu, w którym niegdyś było Liceum Richelieu'go. Obecnie dom ten jest własnością Wagnera. Tam Mickiewicz mieszkał przez cały czas swego w Odessie pobytu, od Lutego do Listopada 1825 r. Mieszkanie to, dane przez władze licealne, a zajmowane przez Mickiewicza wspólnie z Jeżowskim, — obaj bowiem byli kandydatami do posad professorskich w Liceum, — składało się z obszernego pokoju, położonego na pierwszym piętrze, którego dwa okna (u węgła ulic Katarzyny i Deribas'a) wychodziły na pierwszą z tych ulic. Dobrze więc byłoby mieć widok tego domu od ul. Katarzyny.

Rzucamy owe szczegóły miłośnikom swoich rzeczy; może kto zechce się zająć również odbiciem widoku rzeczzonego domu, jak i umieszczeniem na nim pamiątkowej tablicy, z napisem, iż Ad. Mickiewicz tam wyśpiewywał znaczną część swego „Konrada”. Uzupełnił go, jak wiadomo, dopiero w Moskwie, w połowie następnego roku 1826, w chwilach przyjemnych wrażeń dla poety, tułacza odwiedzał go wtedy w owym dalekim mieście, brat, Alexander, prawnik, późniejszy professor krzemieniecki, kijowski, charkowski wreszcie.

Skala Judahu, w Krymie, na której poeta wsparty kreslił swe sonety, także oczekuje upamiętnienia.

Czas postu zwykłą jest epoką odczytów u nas. Mamy ich zatem dosyć i obecnie. Ludzie zajmujący się losem kolonii wakacyjnych dla dzieci krakowskich uprosili przejeżdżającą przez nasze

miasto poetkę, panią Maryę Konopnicką, iż miała odczyt o jednym z utworów Mickiewicza na rzecz owych kolonii. Notujemy ten fakt drobny, jako rzecz niepowszednią u nas. Pierwszy to raz, jak twierdzą Krakowianie — chociaż to niezupełnie z rzeczywistością się zgadza — widziano tu kobietę przemawiającą z katedry: rzecz się wydawała niezwykłą, wobec stosunków naszych. Świetność słowa zaszczytnie znanej autorki, głębokość uwag, panowanie nad przedmiotem — wywarły wrażenie nader dodatnie, podbiły słuchaczy i przekonaly, że kobieta i na mównicy może wywierać wpływ kształcący, może być pożyteczną pracownicą.

Wskazaliśmy przed chwilą, że wystąpienie na katedrze prelegentki kobiety nie jest obecnie pierwszym zjawiskiem w murach Krakowa; dzieńniki twierdzące inaczej mylą się najzupełniej. Przed czterdziestu kilku laty, jeszcze za dni rządów „wolnego miasta”, Anna Libera, znana ze swych piosenek, które obficie zpod jej pióra wybiegały i wsiąknęły w myśl i pamięć ludu, podobnie, jak niektóre krakowiaki Edm. Wasilewskiego — występowała z odczytami publicznymi. Witano je wówczas nieprzyjaźnie; tak dalece rzecz była nową i wydawała się zdrożną. Dziś prelegentkę witają tu oklaskami; wówczas audytoryum przerywało Liberze wykład niewłaściwymi okrzykami, uwłaczającymi szykanami. Widośnie przeszłość półwiekowa nie poszła na marne. Zrobiliśmy parę kroków na drodze poszanowania cudzych przekonań. Wszakże i to jest dobrem, pocieszającym... a więc godnem zaznaczenia...

M.

Kronika działalności kobiecej.

— W Petersburgu została otwarta wystawa koronek. Towarzystwo opieki nad choremi dziećmi rodzin ubogich urządza tam w roku bieżącym trzecią: „Wszechrossyjską wystawę wyrobów kobiecych”.

— Wystawa wyrobów rzemieślniczych mieści wśród ogólnej liczby 187 wystawców, wystawczyń 17, co nie może przecież przedstawiać rzeczywistego stanu pracy kobiet w kraju, ani nawet w Warszawie. W zakresie obrotowej sumy kapitału pierwsze miejsce zajmuje fabryka gorsetów „Marie” (czemu nie *Maryi*?) obracająca rocznie od 30.000 do 40.000 rs.; robotnic zatrudnia ta fabryka liczbę poważną, bo 66, zbyt jej sięga po za granice kraju. Fabryka Maryi Drasz biżuterię ze sztucznymi brylantami, wykazuje również zbyt rozszerzony poza granice kraju i obrót kapitału znaczny: 15.000 rs. Fabryka ta nie zatrudnia kobiet.

Szkoła rzemiosł kobiecych przedstawiło się pięć: szkoła p. Aleksandry Korycińskiej, występująca przez uczennice swoje, między którymi odznaczają się artystycznie już piękne wypalania na drzewie p. Libkind, świadczące o wyższym smaku ich wytwórczyni. P. Mandecka zajęła całą szafę bardzo ładnymi okazami, wśród których znajduje się pasmanteria bardzo czysto, ładnie odrobiona i zarazem warsztatik ręczny do ich wyrobu. Równie dobrze odrobiona jest pasmanteria szkoły p. Justyny Wojewódzkiej, której nauka rozpoczęła się w zakładzie z początkiem bieżącego roku. Ze względu na bardzo rozpowszechnione obecnie jej użycie, jako ozdoby sukien kobiecych, pasmanteria może być bardzo stosownym rzemiosłem dla kobiet i wprowadzenie jej na dział pracy kobiecej zaliczyć trzeba do dobrych nowości. Szkoła p. Przewoskiej Jadwigi zaznacza się dobrze tem, że wprowadziła między nauczane u siebie przedmioty krawiectwo kobiece. Przecież jedna tylko szkoła p. Haliny Tokarzewskiej przedstawiała suknie, a jednak jest to jedno z ważniejszych rzemiosł kobiecych, z bardzo pożytecznym

dla rodzin zastosowaniem. Szkoła p. Tokarzewskiej bardzo bogato wystąpiła i wystawa jej przedstawia największy zakres pracy kobiecej — zwłaszcza pracy kobiecej w rodzinie, bo znajdują się tu okazy domowego gospodarstwa, zapasów spiżarnianych, oraz okazy młynarstwa, które przedstawiają suknie, tak na codzienny skromny użytek, jak strojne, do wieczorowego ubrania. Różowa jedwabna suknia, malowana wytwornie i umiejętnie w kwiaty storczyków, jest bardzo piękną — piękną artystycznie, jak i parawanik, przedstawiający na czarnym atlasie piękne malowanie złotem i farbami. Parawanik nie jest wykończony, bo nie ma to być bynajmniej okaz roboty tapicerskiej, lecz malowania, któremu trzeba przyznać zalety starannego wykonania i bardzo dobrego smaku. Wyroby gospodarstwa domowego: konserwy, konfitury, wędliny, pierniki, wsporniki wyglądające, bardzo dobrze świadczą o kierunku szkoły, która istnieje dopiero rok i po raz pierwszy bierze udział w wystawie. Szkoła p. Tokarzewskiej uczy najogólniej potrzebnych rzeczy: jest szkołą dla pracy w rodzinie, której zastosowanie jest najobszerniejsze. Szkoła p. Popielewskiej jest specjalną szkołą robót siatkowych; wątpić można przecież, aby obecnie ten rodzaj pracy znajdował sobie dostateczne zastosowanie w pracy tak domowej, jak na zbyt.

Do rzemiosł pożytecznych należy pończosznictwo fabryczne i trykoty. Przedstawiają je dwie wystawczynie: pp. Rudzińska i Stanisława Schwartz; ta ostatnia wystawczyni zbywa głównie wyroby swoje w Bazarze pracy kobiet i cieszy się dość znacznym zbytem.

— Doroczne sprawozdanie „Schronienia chorych nieuleczalnych” wykazuje wśród osób, składających zarząd tej instytucji trzy opiekunki: pp. Borkowską Alexandrę, Michałowską Zofią, hr. Łubińską Klementynę.

— Na wsparcie niezamożnych studentów uniwersytetu warszawskiego, urodzonych w Królestwie, wyznania rzymsko-katolickiego zapisała s. p. Marya Bobańska 2.500 rs.

— S. p. Julia Gawrońska, z domu Skrodzka, zapisała na rzecz kasy pożyczkowej dla rzemieślników rs. 4.000; na rzecz Warszawskiego „Schronienia Nauczycielek 5.000 rs.

— W połowie bieżącego roku ma powstać w Warszawie szkoła zegarmistrzowska dla kobiet.

— Bazar pracy kobiecej w Lublinie został otwarty i mieści się w hotelu Wiktorya. Pani lubelskie zawiązały w tym celu między sobą na wzór „Bazaru Warszawskiego” spółkę komandytową, z kilku paniami firmowymi na czele. Umowa została spisana przed regentem. „Gazeta Lubelska” podaje tu dobrą radę, aby sklep bazaru zawierał oile można najmniej robót mało użytecznych, i niełatwo też zbyt znajdujących, jak patarafka, hafty na poduszki i tym podobne przedmioty.

— „Dziennik Łódzki” donosi o wzruszająco dobrym uczynku, spełnionym w kole kobiet niezamożnych — w kole kobiet prostych i ciężko pracujących na życie. Jedna z robotnic w zakładzie fabrycznym na Księżym Młynie, Maryanna Adler, została złożona chorobą, niepozwalającą jej pracować na utrzymanie tak jej samej, jak i dzieci. Otóż kilka jej towarzyszek zajęło się miłosiernie jej losem, przynosząc co która mogła z przedmiotów pożywienia i odzieży. Prócz tego dodano tu z gotowego grosza przeszło półczwartą rubla, co dla biednych robotnic przedstawia już sumkę pewną, to też chora, przyszedłszy do zdrowia a niemając żadnej możności wywdzięcia się za otrzymane dobrodziejstwo, zwróciła się do redakcji Dziennika z prośbą o wyrażenie publicznej jej uczuć.

— Wysoce pożyteczna instytucja, założona przez kobietę dobrej woli chrześcijańskiej, s. p. hr. Alexandrę Branicką w dobrach jej Białocerkwi, święci w roku bieżącym dziesięciolecie swego istnienia. Wspomniana pani, umierając w 1838 r. zapisała wolą swą ostatnią milion rubli assignacyjnych na wieczysty fundusz zapomogi dla właścicieli dóbr swoich, składających się z ówczesnego starostwa Białocerkwi, z kluczy: Bogusławszczyzna, Nizyłowicze, Unin, Olszany,

Kumejki i tam dalej — razem 226 wsi ze stoma tysiącami mieszkańców płci męskiej. Zapis, zatwierdzony przez cesarza Mikołaja, wszedł w życie. Dzieci ofiarodawcy rozporządzały na rzecz włościan dóbr wymienionych procentami pod postacią wsparć i zapomóg, aż po reformie włościańskiej w 1861 r. wnuki obowiązane były złożyć kapitał 285.770 rs. w kijowskim oddziale Banku Państwa, wnosząc jednocześnie do rządu podanie o pozwolenie wniesienia dla włościan dóbr wymienionych instytucji kredytowej. Z zaszczędzonych procentów zebrała się przez długi szereg lat summa 91.208 rs. i te zostały teraz użyte na zakładowy kapitał „Banku włościańskiego imienia hr. Alexandry Branickiej“, wzniesionego w Białej-Cerkwi, a który funkcyjnować począł z d. 1 Stycznia 1880 r. Już poprzednio, bo od d. 20 Czerwca 1875 r., to jest od czasu zatwierdzenia ustawy Banku, procenta od nietykalnego kapitału były corocznie dzielone na dwie połowy, z których jedna była użyta na urządzenie kasy pożyczkowo-wkładowej, druga na zakładanie szkół w siółach należących w chwili zapisu do szlachetnej filantropki.

Ów bank wiejski przyjmuje wkłady, eskontuje wexle, dopełnia zwykłych czynności bankowych, przecież jego głównym zadaniem jest udzielanie pożyczek na możliwie najdogodniejszych warunkach w czasach nieurodzaju lub na przednówku — ogólnie w chwilach wznagających się potrzeb, popychających lud wiejski w ręce niesumiennych lichwiarzy małomiasteczkowych. Operacje banku prowadzi Rada Zawiadowcza, złożona z czterech członków. Jednym jest gubernator kijowski, drugim gmina Biała-Cerkwi, trzecim po kolei jedna z gmin wsi innych, czwartym wyłącznie i nieodwołalnie jeden z potomków fundatorki. Zpomiedzy tych członków generał gubernator wyznacza prezydującego.

Z bieżącej chwili.

— W Petersburgu organizuje się towarzystwo z dobroczynnym celem założenia osad rolnych dla nieletnich i starców, pozbawionych w Petersburgu środków utrzymania. Jeden z filantropów miejscowych dał hojnie 10,000 rs.

— Andriolli wykończył karton przedstawiający według Mickiewiczowskiego obrazu z „Konrada Wallenroda“ uctę krzyżacką w Malborku. Rzecz wspaniała, obejmująca przeszło siedmiesiąt postaci, podzielonych na kilka planów, a jest to moment, gdy stary Halban zaczyna śpiewać w języku, który rozumieją tu tylko dwaj słuchacze. Konrad, we wspaniałym stroju mistrzów krzyżackich, słucha ze schyloną głową i zmarszczonem czołem, a wzruszenie już zaczyna grać mu w piersi. Witold siedzi na przeciwko niego, też silnie tknięty niespodziewanie usłyszonym głosem. W tyle poza Konradem stoi krzyżak, członek tajnego trybunału, ten który kiedyś zawołał: — Ja na mistrza oskarżenie kładę, o fałsz, kacerstwo, oszustwo i zdradę!... a ten już się domyśla czegoś — tragedji rozgrywającej się w dwóch sercach ludzkich. Tło obrazu i jego akcesorya są wspaniałe i historycznie wierne. Andriolli jeździł do Malborka, aby sale zamkową obejrzeć. Obok głównego kartonu znajdują się jeszcze dwa pomniejsze: jeden przedstawia Alfa, gdy jeszcze młody słucha opowiadań Halbana;

drugi, gdy depeząc płaszcz mistrza zerwany z siebie, woła: — Oto są grzechy mojego żywota!...

— **Odważne przedsięwzięcie** kobiety mamy do zanotowania. P. Helena Janina Rogozińska (Hajota), przebywająca z mężem na Fernando Po, puściła się w d. 8 Stycznia na trudną a dla kobiety szczególnież mozolną wyprawę wejścia na górę Clarence Peak, inaczej Pico de Santa Isabel, na której szczyt dostało się dotąd jedynie dwóch podróżników.

Wziawszy ze sobą dwunastu krajowców, puszczono się w drogę z koniecznemi w takiej podróży pakunkami najpierw wodą. Płynięto tak półtora dnia i to była najłatwiejsza, najmniej trudząca część wyprawy, ale gdy przyszło wysiąść na ląd, a było to na wschodnim brzegu wyspy w miejscowości zwanej Ban, najpierwszą a niemalą troską było wynalezienie przewodnika. Niejaki Jerzy Scott, cywilizowany już krajowiec, który służył podróżnym za tłumacza, znalazł ochotnika, który za cenę fuzy i dwóch baryłek prochu, obiecał tego dokonać. Przecież po mozolnem błaganu się przez dni cztery wśród skalistych wąwozów, bo przewodnik drogi nie znał, dostano się przypadkiem jedynie na wierzchołek jakiejś pobocznej góry, w dniu 15 Stycznia. Odsłonił się już teraz oczom wspaniały widok na cel podróży: na Clarence Peak, ale niełatwo i nie prędko można się tam było dostać, a wódz wyprawy, Scott, porzucił podróżnych, nie chcąc się narażać na trudy i niebezpieczeństwa błądzenia wśród dzikiej przyrody, którą p. Helena opisuje w liście do matki w małołowniczym i zajmującym bardzo sposób. Przewodnik chciał również podróżnych porzucić, ale go zatrzymano niemal siłą: drogę dalszą na przód tamował zarosły wąwóz, tworzący dla oczu szeroką przepaść. Kobieta odważnie pierwsza się ku niej ruszyła, a wtedy krajowcy, którzy nieśli pakunki wyprawy i którzy także już chcieli je rzucić i ujsć, również nabrali serca. Musiano torować sobie drogę, gąszcz zarośli przecinając, i tak dostano się na otwartą przestrzeń, rozpościerającą się u stóp góry, która była celem wyprawy. Widok był wspaniały, ale przewodnika nie pociągało to bynajmniej: wołał, aby go raczej zabito, a nie zmuszano do drogi, której trudy go straszły; że przecież przestrzeń była otwarta, a góra widniała wspaniale przed wzrokiem, więc obejść się bez niego było można i tylko chodziło o odwrot: o przebycie ponowne owych zarośli i wąwozów, wśród których zabłąkać się było tak łatwo, a razem tak niebezpiecznie. Żądano od niego, aby jedynie poczekał na podróżnych: przyrzekł to podstępnie, gdy przecież ruszyli tylko naprzód — zbiegli, i p. Rogozińska pisze do matki: „Zostaliśmy więc sami na wysokości 11.000 stóp wśród mgły, która nas zewsząd otaczała, oddaleni od wszelkiej pomocy ludzkiej — zaprzepaszczeni wśród nieprzebranych gąszczów, wśród których tylko oko świadome mogło się dopatrzeć ścieżki stromej, która wieszając się nad przepaściami, mogła nas wywieść z labiryntu“.

— A jeżeli by się nie znalazła? Śmiała kobieta pisze, że ani ona, ani mąż nie myśleli wcale o tem. Dążono tam, gdzie dostało się dopiero dwóch ludzi białych, a gdzie również nie wdzierają się krajowcy, straszeni obawą złych duchów, zamieszkujących według ich legendy te szczyty wyniosłe. Dostano się na ich grzbiety, można dodać: walecznie, a Hajota obrazowo opisuje matkę chwilę, gdy w rozpadlinie otoczonej kamieniami znaleziono owiniętą w zmurszałe płótno żaglowe butelkę, zawierającą pismo jednego z owych dwóch podróżników, którzy tu byli przed niemi: Bancroft i Pilon.

Nasi podróżni, żona i mąż, złożyli w temsamem miejscu dwa dokumenta bytności tu swojej

a kobieta tak dobrze przeniosła trudy przebyte, że wesoło zasiadła pisać list do przyjaciół, którzy w czasie wystawy paryskiej pisali do niej z wieży Eiffel. Rogoziński robił obserwacje termometryczne, mgła przeszkodziła mu przecież do zdjęcia konfiguracji wyspy.

Zejsście na dół połączone było z wieloma trudnościami i niebezpieczeństwami, tylko instynkt krajowców — ich zdolność orientowania się wśród nieznanych gęstwin, pozwoliła szczęśliwie dobić się do celu. Na ostatnim noclegu zostawiono coś żywności i trochę wody w baryłce. Z kolei dostano się do rzeki i tu już trudy przedsięwzięcia, bardzo ciężkie zwłaszcza dla delikatnej kobiety, kończyły się. Spędziła ośm nocy pod gołym niebem a droga była tak stromą, że tylko jeden z tych noclegów wypadł na jakiejś takiej płaszczyźnie. Wszystkie inne miejscowości wymagały dla ustawienia horyzontalnie łóżek polowych kopania dołów dla nóg tylnych, a podkładania kamieni pod przednie. Dodać trzeba, że zarośla tworzyły się z kolczastych drzewin paprociowych, a całe przestrzenie przedstawiały gąszcze parzących pokrzyw — wszystko do koła kłóło i parzyło i gdy na „śliskiej jak szkło drodze“ osunęła się noga, ręka za takie tylko oparcie chwycić się mogła. Dnia 20 Stycznia podróżnicy znaleźli się w miejscu swego zamieszkania w Santa Maria. P. Stefanowa zebrała w drodze bukiet białych nieśmiertelników, które porastają góry tamtejsze, i zamierza przesłać je królowej Maryi Krystynie, jako dar od „pierwszej kobiety, która stanęła na jakimkolwiek afrykańskim szczycie“. Otrzymała ona od gubernatora wyspy dyplom uznania, (który przysłała do Warszawy matce) gubernator wręczył jej jeszcze w upominku wielki portret królowej w bardzo ozdobnych ramach. Rogoziński otrzymał krzyż kommandorski. Podróżniczka nasza myślała wśród tej podróży do afrykańskiego szczytu o swojej stronie i przesała do Lwowa Dr. Rehmanowi kolekcję mchów i zbiór storczyków (orchidei) obok innych ciekawych okazów tamtejszej flory górskiej.

OD WYDAWCY.

„Bluszcz“ w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod dotychczasową redakcją.

Szanownym prenumeratorom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 3-ci powieści pod tytułem: *Szych*, przez Stefanią Wohl. Przekład L. M.

TREŚĆ: Rozkosze życia (ambicya), przez M. Ilnicką — Marya Krystyna Hiszpańska. — Drugie pokolenie. Powieść oryginalnie napisana, przez M. Gawalewicz. — Przegląd piśmienniczy, przez Stanisława Krzemińskiego. — Korrespondencya zagraniczna (krakowska, przez M. — Kronika działalności kobiecej. — Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: Arkusz 3-ci powieści, pod tytułem: *Szych*, przez Stefanią Wohl. — Przegląd mód. — 28 wzorów, ubiorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycya stołu.

Przegląd mód.

Okrycia, płaszcze, paletoty — z czego je robić i jak się do tego wzięść — modelę pani Thones.

Dobroczyńne słońce zaczyna ogrzewać ziemię a wonną i miłą wiosnę czuć już prawie w powietrzu. Należy nam więc powiedzieć, jakie w dziedzinie mody, choć nie wielkie, ale w każdym razie przygotowują się zmiany. Na pierwszym planie kładziemy okrycia, których rodzaje nadzwyczaj są urozmaicone. Płaszcz długi lub paletot przystający do figury, jako nieodzowny w podróży, na ranne przechadzki i zamiejskie wycieczki stawiamy na pierwszym miejscu.

Rozmaitość formy materiałów i przybrania czyni to okrycie stosownem dla każdego wieku, i dla tego to właśnie paryżanki i amerykańki wyłączenie go polubiły. Angielskie wiosenne i podróżne płaszcze wyróżniają się prostotą kroju, wyborowym materiałem i odzieniem wszelkich ozdób, ale za to mniej są ponętne dla oka. Obok długich paltotów, płaszców figurujących, paltociki, żakietki, mantyle, mantyleczki, rotundy, fiszutki i pelerynki — wszystkie zgrabne, wdzięczne, zdobne, stosownie do formy w wielkie guziki, sprzączki metalowe, galony, hafty, pasmantery, napierśniki w odmiennych kolorach i t. p. Aksamitne kokardy na ramionach dla młodszych osób bardzo ładnie wyglądają.

Wprowadzone w modę konkursu piękności, ustaliły modę okryć krótkich, uwydatniających dobrze figurę. Osoby lubiące formy fałdziste znajdują wielki wybór w pelerynach, kołnierzykach i rotundach z wolantów. Oprócz wymienionych już ozdób nadmieniamy jeszcze hafty aplikacji i szerokie frendzle. Do okryć lekkich jedwabnych koronka zawsze będzie odpowiednią, mięszana z dżetem lub pasmanterią. Dłuższe okrycia zdobią pelerynką z frendzli albo kołnierzem z falbanek szerszych lub węższych. Utrzymanie się w modzie rękawów bufiastych, z konieczności sprowadza modę paltotów i kaftaników bez rękawów — jest to rzecz względnie wygodna. Osoby, mające w szafie bezużyteczne plety w kraty mogą takowe zużytkować na bardzo ładne i wygodne okrycie z odmiennego rodzaju kapturkiem — wzór takowego okrycia podamy w Bl. Nr 14. Plet może

być zastąpiony w tym celu, dwoma metrami szewjotu w kratkę, lub tak miłego materiału jak „himalaya”. Szeroka frendzla i kapturek z gładkiego jedwabnego materiału wykończa całość bardzo odpowiednią na tak zwane „demie toilette”. Szkockie tkaniny z powodu swojej praktyczności, wielkiego i coraz ogólniejszego dostępują wzięcia. — W magazynie pani Thones, ulica Nowo-Senatorska, znanym czytelnikom Bluszcza od wielu lat, jako specjalny magazyn gotowych okryć wszelkiego rodzaju, widzieliśmy w tych dniach model paryżki ślicznego okrycia dla panienki 16 letniej z tartanu w kratę z małą pelerynką — model był śliczny. Długi płaszcz jedwabny z aksamitem, szeroką frendzlą i pasmanterią, zdobny, wyróżniał się dobrym gustem i odrębnym rodzajem.

W przyszłym naszym przeglądzie napiszemy coś o sukniach, co nam korespondentka nasza własna napisze z Paryża.

L. C.

Czepeczek z koronki i wstążki.

Rycina Nr 5 w Bl. Nr 12.

Przygotować 3 paseczki, każdy 44 cent. dług. a 1 cent. szer. z petynетки, objąć drucikiem i aksamitną ponsową wstążeczką. Połączyć razem brzegi, a środkową górną część w stosownych odstępach umocować na druciku 4 cent. długim. Na każdym paseczku przyszyć podług ryciny kokardkę z aksamitnej ponsowej wstążeczki 2 cent. szer. Część koronki 110 cent. dług. ułożyć podług ryci-

ny. Na prawym boku kokarda z końcami wzniesionymi w górę.

Kapelusz z tiulu.

Rycina Nr 6 w Bl. Nr 12.

Kapotka na foremce wykonanej z druciku, pokrytej należyście gładkim czarnym tiulem. Do ozdoby służą perelki dżetowe okrągłe i dżet płaski. Część przednia przybrana diademem z róż blado różowych, pokrytych bufofanowym tiulem w muszki w sposób, ażeby były widoczne. Część tylna, ułożona na drucikach w kształcie motyla z rozpostartymi skrzydłami z tiulu i dżetu, koniec do wiązania z wstążki aksamitnej 3 cen. szer.

Riuszka na szyję z koronki i wstążki.

Rycina Nr 7 w Bl. Nr 12.

Na powyższą riuszkę użyć należy wstążki koloru crème 4 cent. szer. a 42 cent. dług., złożyć takową na połowę szerokości i naszyć wężykowato podług ryciny koronką jedwabną 4 cent. szeroka.

Nr 4. Część tylna sukni Nr 1. (Krój pierw. str. tabl. Nr I, fig. 1—12).

Kokarda z wstążki atlasowej 2 cent. szer. zdobi część przednią, przykrywając spięcie na hafteczki. Mniejszą kokardkę przyszyć w środku w części tylnej.

Kapelusz z jedwabnej gazy i złotego szlaku.

Rycina Nr 8 w Bl. Nr 12.

Kapelusz z gazy jedwabnej koloru lila, przybrany podług ryc. pasmanterią złotą, bukietem bzu koloru lila, oraz białemi rumiankami. Wstążki lila atlasowe 6½ cent. szerokości.

Kołnierzyk z jedwabnego repsu i wstążki.

Rycina Nr 10 w Bl. Nr 12.

Kołnierzyk utworzony z dwóch riuszek układanych w kontrafaldy. Na każdą użyć jedwabnego repsu, koloru lila 120 c. długości a szer. 9½, oraz 8, takowy wystrzpić na 2½ cent. szer., ułożony w kontrafaldy przymocować do paseczka z lila wstążki 2 cent. szer. a 40 cent. dług. Kokarda z wstążki repsowej 6 c. szer. a 47 cent. dług. wykończy całość.

Kapelusze letnie.

Rycina Nr 11 — 16 i 17 — 22 w Bl. Nr 12.

Kapelusze letnie rozmaitych nowych fasonów z rozmaitego gatunku i koloru słomy i pletni.

Parasole i laski do tychże.

Rycina Nr 30 — 35 w Bl. Nr 12.

Parasole „en tout cas” i laski do tychże, z drzewa rozmaitego koloru i wyrobu — pokrycia jedwabne w kolorach mienionych lub gładkich.



Nr 1. Suknia z materiału wełnianego i jedwabnego repsu (do ryc. Nr 4). Kr. pierw. str. tabl. Nr I, fig. 1—12.

Nr 2. Suknia dla młodej osoby (do ryc. Nr 3). Krój i opis odw. str. tabl.

Parasole i laski do tychże.

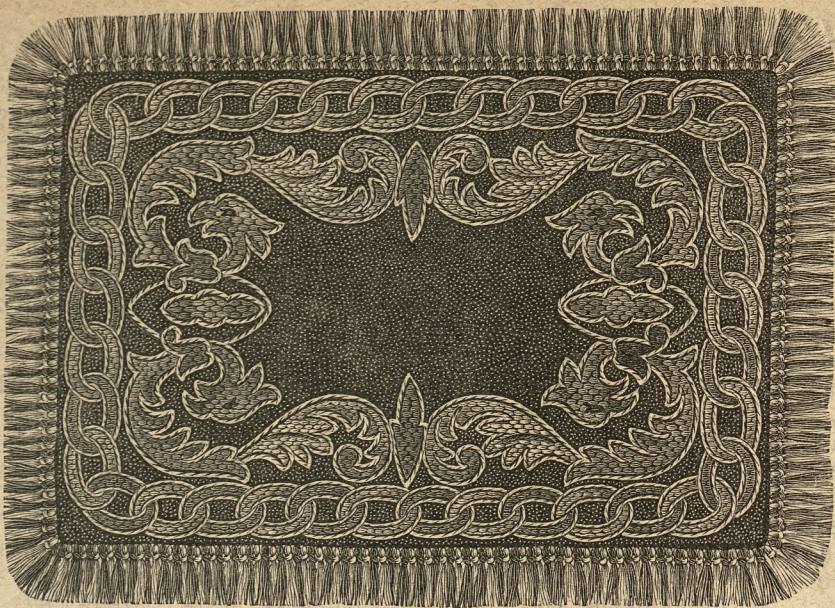
Rycina Nr 36—40 w Bl. Nr 12.

Parasole „en tout cas“ z drzewa czarnego polerowanego, oraz z drzewa naturalnego — pokrycia jedwabne.

Suknia z materiału wełnianego i jedwabnego repsu.

Rycina Nr 1 i 4. (Krój pierw. str. tabl. Nr I, fig. 1—12).

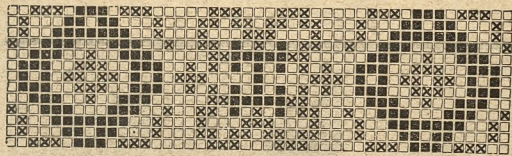
Suknia z materiału wełnianego w wąskie paski niebieskie z brązowym i z repsu jedwabnego koloru brązowego, na którym wykonana aplikacja z sukna białego z brązową i złotą nitką. Spódnica z brązowego kamlołu 200 cent. szer., obszyta w dolnym brzegu na 6 cent. szer. falbanką plisowaną, oraz falbanką 10 cent. szer. wycinaną w zęby, zaopatrzona w górnej części na 31 i 64 c. od górnego brzegu w tasiemki do ściągania i do związania. Przednia część spódnicy pokryta częścią jedwabnego repsu, ozdobionego haftem aplikacyi. Tylna część spódnicy pokryta falbaną 22 cent. wys. z materiału wełnianego w paski. Wetman skrajając po dopełnieniu złożenia fig. 3, 7 i 8 i stosownem przedłużeniu fig. 7 i 8 w kierunku strzałki, z podszewki fig. 1 i 6, z materiału w paski fig. 3 i 7, a z jedwabnego repsu fig. 4, 5, 10—12 po dwie części; następnie z jedwabnego repsu podług fig. 2 i 9, z materiału wełnianego fig. 8 po jednej części złożonej wzdłuż środka. Zaopatrzyć podszewką fig. 2, 4, 5, 9 — 12, oraz podkładem fig.



Nr 5. Serwetka (ścieg płaski). Deseń odwr. str. tabl. Nr IX, fig. 63.



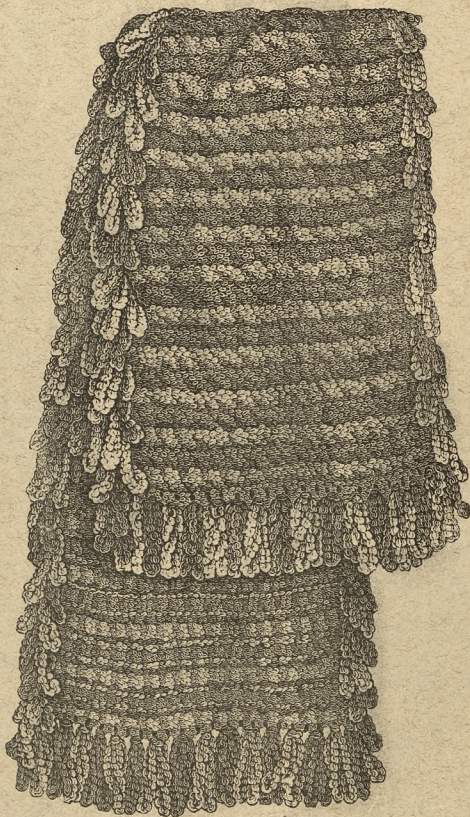
Nr 7. Pudełko na rękawiczki (malowidło na drzewie).



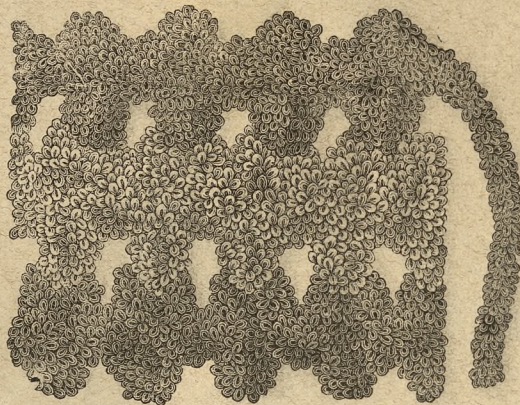
Nr 8. Szlaczek na serwetkę do jajek (robota krzyżowa).



Nr 9. Płaszczek dla panienki od 5—7 lat (do ryc. Nr 24). Kr. i op. odwr. str. tabl. Nr VII, fig. 45—56.



Nr 10. Szlak. (robota szydełkowa do ryc. Nr 11).



Nr 11. Część roboty szydełkowej do szlaka (ryc. Nr 10 (wielkość oryginalna)).

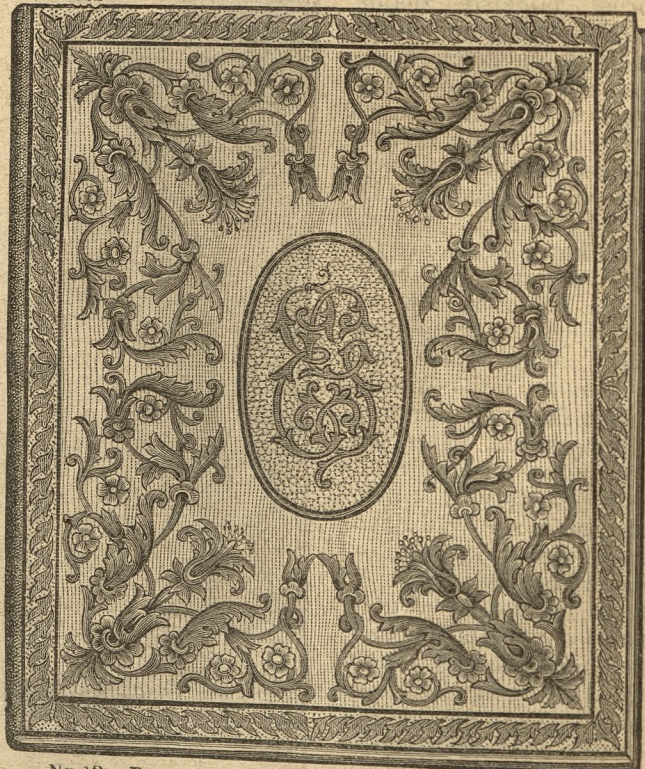
9 i 10. Wykonać pierwsze zaszewki w przednich częściach z podszewki, pokryć plecy materiałem wełnianym od boków aż do linii, pomiędzy zaś dwoma liniami repsu jedwabnym, przyozdobionym aplikacją, przybrać części boczne, oraz napierśnik i kołnierzyk odpowiednim haftem. Zmarszczyć po kilkakrotnie przednie części z materiału w górnym brzegu od 15 do : a w dolnym brzegu ułożyć w fałdy podług wskazówek. Fałdy przystępnować na 25 cent. wysokości i przyfastrygować materiał do podszewki. W obydwóch przednich częściach wykonać 2-ie zaszewki i przyszyć napierśnik do przedniej prawej części od 1 do 2 (fig. 1). Napierśnik zapiąć na hafteczki na lewej przedniej części. Po przyszyciu materiału napierśnika od 3 do 4 prawego boku,

zszycić plecy, boczki i przednie części podług cyfr i przyszyć poniżej napierśnika haftki do zapinania. Następnie w fig. 7 i 8 umocować fałdy, trafiając każdy $\frac{1}{2}$ na $\frac{1}{2}$, oraz każde dwa $\frac{1}{2}$ na jednej $\frac{1}{2}$, i $\frac{1}{2}$ na $\frac{1}{2}$ (linje kropkowane przedstawiają zewnętrzne zgięcia fałd) i przyszyć przednią wstawioną część do przednich części wzdłuż linii od 4 do 10. Tylną część po wyłożeniu bocznych brzegów wzdłuż kropkowanej linii, podług wskazówek ułożoną w kontrafałdy od 10—15 i od 13—15. Wykonać wycięcie szyi odpowiednio do pleców i zszycić tylną fałdę od 11 do 12 z przednią wstawioną częścią. Dla otrzymania fałdy, należy pod spodem przyszyć tasiemkę mniej więcej w połowie wysokości spódnicy. Po połączeniu kołnierza od * do 17 z zachodzącym na wierzch materiałem, przyszyć takowy do wetmanu podług cyfr i znaków i zapinać na napierśniku od 3 do 4. Zszycić wierzchnie części rękawów ze spodniami od 18 do 19 i od 20 do 21, przybrać haften aplikacyi, zmarszczyć w górnej części w fałdki od * do * i wszyć w wetman, trafiając w 21 na 21 przednich części. Poły bocznych, oraz dolny brzeg rękawów włącznie z rozporkiem ozdobić grełotkami.

Płaszczek dla panienki od 5—7 lat.

Rycina Nr 9 i 24. (Krój odwr. str. tabl. Nr VII, fig. 45—56).

Płaszczek z szewjotu w kraty białe i niebieskie, oraz mora niebieska. Po dopełnieniu złożenia fig. 54, skrajając z szewjotu fig. 45 i 47 po jednej części a fig. 48, 49, 51, 52, 54 i 55 po dwie części. Z mora skrajając kołnierzyk, pasek i klapki na rękawy. Fig 46 skrajając z podszewki, Najprzód przednią część zmarszczyć w fałdki w równych odstępach tak w górnej jak w dolnej części.



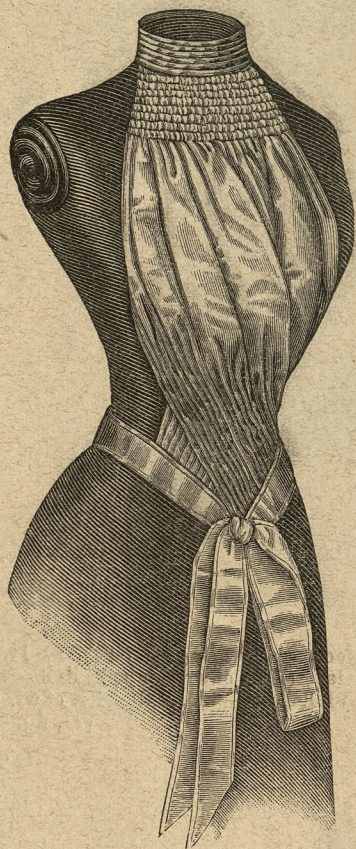
Nr 13. „Buvard“ (malowidło na drzewie). Deseń odwr. str. tabl. Nr V, fig. 32.



Nr 12. Szlak z narożnikami do ozdoby serwet, serwetek i t. p. (robota krzyżowa na tkaninie lnianej).



Nr 14. Szlak do ozdoby sukien, okryć i t. p. (robota szydełkowa).



Nr 16. Napierśnik z „surah“.



Nr 17. Poduszka do mebli ogrodowych lub balkonowych. (Scieg płaski, gałązkowy i supelkowy).



Nr 18. Znak haftowany.

ułożyć w drobne zakładki. Pasek z wstążki różowej atłasowej, związany w pukle wykończy całość.

Kaftanik dla dziecka od 2—3 lat.

Rycina Nr 21. (Krój pierw. str. tabl. Nr III, fig. 24—29).

Skrajać z trykotu koloru granatowego fig. 24, 25, 27 i 28 po dwie części, podług fig. 26 jedną część złożoną wzdłuż środka. Podług fig. 29 klapki na rękawy. Zeszyć plecy i przednie części podług cyfr. Przednie części podszyc na 5 cent. szer. satinką granatową, na prawej wykonać dziurki, na obydwóch zaś przyszyć guziczki jak wskazuje rycina. Wszyć kołnierzyk od 44 do 48. Zeszyć rękawy podług cyfr, przybrać kłapkami i wszyć w kaftanik. Białe wełniane galeony wykończy całość.

Paltocik dla panienki od 3—5 lat.

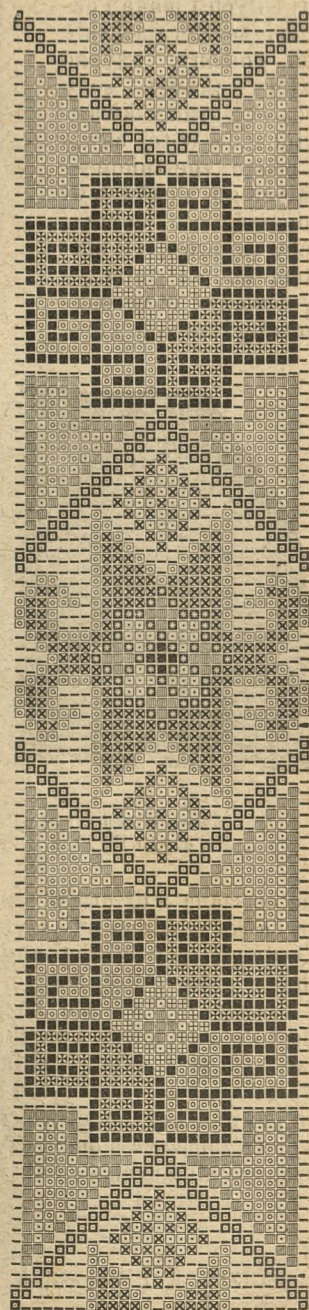
Rycina Nr 23. (Krój odwr. str. tabl. Nr VIII, fig. 57—62).

Paltocik z sukna ciemno-ponowego. Po dopełnieniu złożenia fig. 57, skrajać z sukna i tegoż koloru atlasu fig. 57, 58, 61 i 62 po dwie części. Podług fig. 59 i 60 po jednej części złożonej wzdłuż środka. Oprócz tego skrajać jeszcze jeden kołnier z materiału jedwabnego w pa-



Nr 15. Znak haftowany.

sy białe i ponsowe i z podszewki fig. 60, z uwzględnieniem wystających konturów. Przednie części zaopatrzyć podkładem na 10 cent. szerok. i połączyć podług cyfr z plecami po wykonaniu szwu od 49 do 50. W plecach umocować $\dagger$ na „wykonać w przednich częściach nacięcia i w takowe wszyć kieszonki. Napierśnik zaopatrzyć w guziczki i odpowiednie dziurki do zapinania, przyszyć takowy do paltotu od * do 55 i do przedniej części przyszyć guziki wzdłuż gładkiej linii. Zeszyć rękawy



Nr 20. Rysunek na przykrycie na sofę Nr 19. □ Ciemny miedziany, ■ 2-gi jaśniejszy, ▨ 3-ci najjaśniejszy miedziany. ■ Ciemny brązowy, * 2-gi jaśniejszy, ▨ 3-ci najjaśniejszy brązowy, □ granatowy, ▨ niebieski jasny, ▨ oliwkowy, † tło.



Nr 19. Przykrycie na sofę, robota „krzyżowa“ (do Nr 20).

ści odpowiednio do fig. 46, do której przednią część przyfastrygować podług cyfr i znaków. Do lewej przedniej części przyszyć w przednim brzegu pasek z podszewki 10 cent. szer. i połączyć fig. 45 — 49 podług cyfr. Dolna część płaszczyka powinna mieć obwód 260 cent. Zeszyć wierzchnie części rękawów ze spodniami, przybrać kłapkami i wszyć w płaszczyk. W pelerynce wykonać oznaczone fałdy. Przednie części obszyć 7 cent. szer. niebieskim atłasem, wyłożyć dolne części tejże, trafiając w: na: oraz wzdłuż kropkowanej linii i wszyć pelerynkę wzdłuż wycięcia szyi, szwu na ramieniu i paszek. Kołnierzyk i pasek zaopatrzyć podkładem i podszewką. Kołnierzyk przyszyć do opaski od 46 do 47 i wszyć w płaszczyk od 32 do 48. Przyszyć pasek. Do lewej przedniej części wzdłuż linii przyszyć guziki, a w prawej wykonać odpowiednie dziurki.

Napierśnik chusteczkowy.

Rycina Nr 16.

Napierśnik wykonany z dwóch części „surah“ koloru różowego. Każda część 49 cent. długa a 48 cent. szer. zmarszczyć w górnej części na 7 cent. od brzegu w fałdeczki w równych odstępach $\frac{1}{2}$ cent. Wszyć w stojący kołnierzyk, ułożony w drobne poprzeczne fałdki. Części „surah“ podłóżnie ułożyć podług ryciny w sposób, ażeby uwidatnić skrzyżowanie chusteczkowe, dolną część

podług cyfr, przybrać guziczkami i wszyć w paltocik.

Przepisy gospodarskie.

Babka piaskowa na proszkach burzą- cych.

Ciasto piaskowe jest bardzo trudne do udania — otóż dla tego, aby się koniecznie udało i było pulchniejsze, dodać trzeba proszku burzącego, pół funta młodego masła utrzeć w donicy na masę, następnie dodawać po jednym całem jajku, po łyżce pszennej mąki i łyżce cukru, których także powinno być po pół funta, cukru może być nawet 20 1utów, w którym powinien być kawałek tłuczonej wanilii. Gdy wyjdzie siedm jaj całych i mąka i cukier, rozcierając całe pół godziny, wsypać cztery gramy sody i cztery gramy kwasu winnego — w tej chwili ciasto zgęstnieje — należy go zlekka wymieszać, ale dobrze, żeby się proszki z ciastem dobrze połączyły — włożyć w wysmarowany rondel lub for-

brej śmietanki, wsypać funt cukru i ćwierć funta młodego masła i to gotować na walmym ogniu, ciągle mieszając łyżką, aż się wygotuje do połowy, wtedy wlać dwie, literalnie dwie, a można jedną tylko kroplę olejku różanego, pół łyżeczki alkermezu, dla zakalizowania wymieszać doskonale i gorącą tę masę kłaść na grubość tyłca noża, na upieczone zimne już kruche ciasto. Można kłaść igrubiej — zaraz zacznie zastygać — jest ładny, smaczny i oryginalny w smaku mazurek.

Doświadczenie praktyczne.

Tak ozory jak szynki, mające być użyte na zimno, nie wyjmować od razu gorące z sosu, ale niech w nim ostygną, a sok nie wypłynie z nich po wystudzeniu.

L. C.

Opisanie figur: Nr 2, 7, 10 i 11, 13, 14, 17, 19 i 20 w przysłym numerze.

Nr 21. Kaftanik dla dziecka od 2—3 lat. (Kr. pierw. str. tabl. Nr III, fig. 24—29).

Nr 22. Płaszcz dla panienki od 10—12 lat. (Krój i opis pierw. str. tabl. Nr II, fig. 13—23).

Nr 23. Paltocik dla panienki od 3—5 lat. (Krój odw. str. tab. Nr VIII, fig. 57—62).

Nr 24. Płaszcz dla ja-nienki od 5—7 lat (do Nr 9). Kr. odw. str. tabl. Nr VII, fig. 45—56.



Nr 25. Część wewnętrzna pelerynki do płaszczyka Nr 29 w Bl. Nr 12.

mę blaszaną z dziurą w środku, bo taka babka powinna się szybko piec — i wstawić pod blachę angielskiej kuchni w gorący piec, do którego włożyć 2 kawałki drzewa, bo bez drzewa się ciasto nie zrumieni i prędko nie upiecze. Co pięć minut dokładać po kawałku drzewa — a w piecu stać powinna pół godziny mniej więcej — należy jednak zobaczyć słomką czy upieczona, jeżeli słomka sucha, to upieczona.

L. C.

Mazurek z masą kremową różaną.

Zrobić kruche ciasto z funta mąki — pół funta młodego masła, pół funta można brać tylko 12 1utów cukru i jednego żółtka i upiec go na blasze w niezbyt gorącym piecu. Wziąć pół kwar-ty słodkiej kremowej lub bardzo do-



Nr 27. Pelerynka w rodzaju chusteczki z wigoni (do ryc. Nr 26). Kr. i op. pierw. str. tabl. Nr IV, fig. 30 i 31.



Nr 26. Pelerynka w rodzaju chusteczki z wigoni (do ryc. Nr 27). Kr. i opis pierw. str. tabl. Nr IV, fig. 30 i 31.

Uwaga.

Tablica krojów objaśniająca wzory ubiorów i robót w Nr 12 Bluszczu służy też do numeru dzisiejszego.